UMBERTO ECO

Jak podróżować z łososiem

NOIR SUR BLANC

UMBERTO ECO

JAK PODRÓŻOWAĆ Z ŁOSOSIEM

Przełożył
Krzysztof Żaboklicki

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Jak grać Indianina
Jak redagować katalog wystawy dzieł sztuki
Jak urządzić bibliotekę publiczną
Jak inteligentnie spędzić urlop
Jak zdobyć wtórnik skradzionego prawa jazdy
Jak korzystać z instrukcji
Jak wystrzegać się chorób zakaźnych
Jak podróżować z łososiem
Jak dokonywać inwentaryzacji
Jak kupować gadżety
Jak zostać kawalerem maltańskim
Jak jeść w samolocie
Jak mówić o zwierzętach
Jak pisać wstęp
Jak być prezenterem telewizyjnym
Jak posługiwać się przeklętym dzbanuszkiem
Jak wykorzystywać czas
Jak radzić sobie z taksówkarzem
Jak zdementować dementi
Jak wrzucać do kosza telegramy
Jak się zaczyna, jak kończy
Jak nie wiedzieć, która godzina

Jak przejść kontrolę celną
Jak nie posługiwać się faksem
Jak reagować na znane twarze
Jak rozpoznać film porno
Jak jeść lody
Jak nie mówić „dokładnie”
Jak strzec się wdów
Jak nie rozmawiać o piłce nożnej
Jak usprawiedliwić posiadanie domowej biblioteki
Jak nie używać telefonu komórkowego
Jak podróżować amerykańskimi pociągami
Jak wybrać sobie popłatny zawód
Jak stawiać wielokropek
Jak stać się popularnym
Jak się pokazać, będąc nikim
Jak karać nadawców spamu
Jak posługiwać się siecią, usiłując coś sobie przypomnieć
Jak nie dać się wciągnąć w spisek
Jak nie zapominać o pedofilach
Jak unikać karnawału, codziennie go przeżywając
Jak przeżyć w chaosie mediów
Jak z godnością próbować i wynikom prób zaprzeczać
Jak zajmować się filozofią w domu

Przypisy
Inne książki Umberto Eco

Tytuł oryginału: COME VIAGGIARE CON UN SALMONE

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: BEATA WYRZYKOWSKA, JANINA ZGRZEMBSKA
Projekt okładki: TOMASZ LEC
Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Copyright © 2016, La nave di Teseo Editore, Milano
For the Polish edition
Copyright © 2017, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-09-7

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Jak grać Indianina

Ponieważ przyszłość narodu indiańskiego wydaje się już przesądzona, pragnący awansu społecznego młody Indianin ma tylko jedno wyjście: zagrać w westernie. Podajemy zatem kilka zasadniczych wskazówek, dzięki którym młody Indianin tak będzie wykonywał różne pokojowe i wojenne czynności, że zasłuży na miano „Indianina z westernu", przyczyniając się w ten sposób do rozwiązania problemu endemicznego niedoboru miejsc pracy nękającego jemu podobnych.

Przed atakiem

1. Nigdy nie atakować od razu. Wysyłając dobrze widoczne sygnały dymne, dać się zauważyć z daleka kilka dni wcześniej, tak by dyliżans lub fort zdążył zawiadomić 7. Pułk Lekkiej Kawalerii.

2. W miarę możności pokazywać się w niewielkich grupach na okolicznych wzgórzach. Stawiać warty na wyraźnie odosobnionych szczytach.

3. Zostawiać oczywiste ślady swojej obecności: odciski końskich kopyt, wygaszone ogniska na biwakach, pióra i amulety umożliwiające rozpoznanie plemienia.

Napad na dyliżans

4. Napadając na dyliżans, jechać za nim zawsze w pewnej odległości lub co najwyżej z boku, aby łatwiej zostać trafionym.

5. Spowalniać mustangi – jak wiadomo, są one szybsze od koni pociągowych – nie dopuszczając do wyprzedzenia dyliżansu.

6. Próby zatrzymania dyliżansu podejmować wyłącznie pojedynczo, rzucając się na uprząż tak, aby umożliwić pocztylionowi celny strzał i spaść pod końskie kopyta.

7. Nigdy nie zagradzać dyliżansowi drogi liczną grupą; musiałby wtedy natychmiast się zatrzymać.

Napad na odosobnioną farmę lub ustawione w krąg wozy

8. Nie atakować nigdy nocą, gdy osadnicy się tego nie spodziewają. Przestrzegać zasady, zgodnie z którą Indianin napada tylko za dnia.

9. Naśladować głośno ujadanie kojota, sygnalizując w ten sposób swoją obecność.

10. Jeżeli kojota naśladuje biały, natychmiast unieść głowę, aby mógł łatwo w nią trafić.

11. Atakować, galopując wokół bez zacieśniania koła, aby dać się kolejno powystrzelać.

12. Atakując galopem wokół, nigdy nie angażować wszystkich napastników naraz. Poległych zastępować stopniowo.

13. Mimo braku strzemion wtykać jakimś sposobem stopę w uprząż, aby trafionego kulą koń mógł długo za sobą ciągnąć.

14. Posługiwać się strzelbami kupionymi od nieuczciwego handlarza, nie znać dobrze zasad ich funkcjonowania. Ładować bardzo powoli.

15. Nie przerywać galopu wokół atakowanego obiektu wraz z przybyciem naszych, czekać na oddział kawalerii, nie wyruszając mu naprzeciw. Po pierwszym uderzeniu rozproszyć się w nieładzie, umożliwiając pościg za pojedynczymi napastnikami.

16. W przypadku odosobnionej farmy wysyłać w nocy jednego człowieka. Podejdzie on do oświetlonego okna i będzie się przyglądał przebywającej wewnątrz białej kobiecie, dopóki ta nie zauważy przyklejonej do szyby twarzy. Indianin odczeka, aż kobieta krzyknie, a mężczyźni wyjdą przed dom, i wtedy spróbuje uciec.

Napad na fort

17. Przede wszystkim spowodować w nocy ucieczkę koni. Nie chwytać ich, niech biegają sobie po prerii.

18. Wdrapując się podczas bitwy na obwarowanie, należy to czynić pojedynczo. Pokazywać powoli najpierw broń, potem głowę, wynurzając się w takim momencie, by biała kobieta mogła zasygnalizować obecność napastnika strzelcowi wyborowemu. Nie padać do wnętrza fortu, lecz do tyłu, na zewnątrz.

19. Strzelając z daleka, stać na dobrze widocznym dla wroga nagim szczycie, aby po ugodzeniu kulą upaść do przodu i roztrzaskać się o skały.

20. W przypadku bezpośredniego starcia zwlekać z celowaniem.

21. Podobnie jak nie używać nigdy pistoletów, które takie starcie zakończyłyby natychmiast. Ograniczać się wyłącznie do białej broni.

22. W razie wypadu białych nie kraść broni zabitemu wrogowi. Jedynie zegarek. I wsłuchiwać się w jego tykanie, dopóki nie nadejdzie inny nieprzyjaciel.

23. Schwytanego wroga nie zabijać natychmiast, lecz przywiązać go do słupa albo zamknąć w namiocie. Czekać na nów księżyca, póki nie nadejdą kompani jeńca i go nie uwolnią.

24. Za każdym razem mieć pewność, że nieprzyjacielski trębacz zostanie zabity, gdy tylko dopłynie z oddali dźwięk trąbki 7. Pułku Lekkiej Kawalerii. Wtedy trębacz z fortu zawsze wstaje i odpowiada na sygnał z najwyższego miejsca na obwarowaniu.

Inne przypadki

25. W razie napadu na indiańską wioskę wysypać się w nieładzie z namiotów i biegać w różnych kierunkach, usiłując odzyskać broń złożoną przedtem w miejscach, do których trudno dotrzeć.

26. Sprawdzać jakość whisky sprzedawanej przez handlarzy. Winna zawierać kwas siarkowy w stosunku trzy do jednego.

27. Kiedy przejeżdża pociąg, upewnić się, że podróżuje nim łowca Indian, i galopować wzdłuż składu, wymachując strzelbą i wydając powitalne okrzyki.

28. Skacząc z góry na ramiona białego, trzymać nóż tak, aby nie zranić wroga od razu, tylko pozwolić mu na walkę wręcz. Najlepiej poczekać, aż biały się odwróci.

1975

Jak redagować katalog wystawy dzieł sztuki

Podane niżej instrukcje mają posłużyć redaktorowi katalogów wystaw dzieł sztuki (dalej: RKW). Uwaga: nie są przeznaczone dla piszących krytyczno-historyczne eseje do czasopism specjalistycznych, co ma różne i złożone przyczyny. Najważniejsza jest taka, że eseje krytyczne czytają i oceniają inni krytycy, rzadko czyni to sam analizowany artysta, bo albo nie jest abonentem danego czasopisma, albo zmarł już dwa stulecia wcześniej. W przypadku katalogu wystawy dzieł sztuki współczesnej rzecz ma się całkiem inaczej.

Jak się zostaje RKW? Niestety, bardzo łatwo. Wystarczy być pracownikiem umysłowym (bardzo pożądani są fizycy atomowi i biolodzy), mieć telefon zarejestrowany na swoje nazwisko i cieszyć się pewną renomą. Renomę mierzy się następująco: zasięgiem geograficznym winna przewyższać obszar oddziaływania wystawy (a więc obejmować prowincję w przypadku niewielkiego miasta o liczbie mieszkańców poniżej siedemdziesięciu tysięcy, cały kraj – w przypadku stolicy regionu, cały świat, gdy w rachubę wchodzi stolica niezawisłego państwa, z wyjątkiem San Marino i Andory), a w głąb sięgać nie dalej, niż sięga wyrobienie kulturalne ewentualnych nabywców obrazów (gdy chodzi o wystawę pejzaży alpejskich w stylu Segantiniego, nie trzeba – mogłoby się to okazać wręcz szkodliwe – być osobą pisującą do „New Yorkera”; bardziej wskazany byłby dyrektor miejscowej szkoły pedagogicznej). Niezbędna jest oczywiście prośba zainteresowanego artysty, ale to żaden problem: zainteresowanych artystów jest zawsze więcej niż potencjalnych RKW. Po spełnieniu tych warunków wybór na RKW staje się nieuchronny bez względu na jego wolę. Jeśli artysta sobie zażyczy, potencjalny RKW będzie musiał swoje zadanie wykonać; uniknąć tego mógłby, jedynie emigrując na

inny kontynent. Po wyrażeniu zgody RKW powinien ustalić jedną z następujących przyczyn podjętej decyzji:

1) Przekupstwo (nader rzadko, ponieważ – jak się przekonamy – istnieją przyczyny mniej kosztowne). 2) Rekompensata seksualna. 3) Przyjaźń w dwóch wersjach, prawdziwej sympatii i niemożności odmowy. 4) Dar pod postacią dzieła artysty (przyczyna nie pokrywa się z kolejną, to znaczy z podziwem dla artysty; można bowiem chcieć dostać w darze czyjąś pracę dlatego, że gromadzi się obrazy na sprzedaż). 5) Prawdziwy podziw dla twórczości artysty. 6) Pragnienie skojarzenia własnego nazwiska z nazwiskiem artysty: bajeczna inwestycja dla młodych intelektualistów, gdyż artysta zadba o rozpowszechnienie ich nazwisk w niezliczonych bibliografiach kolejnych katalogów w kraju i za granicą. 7) Wspólne zainteresowanie – natury ideologicznej, estetycznej lub komercyjnej – sukcesem określonego prądu lub określonej galerii dzieł sztuki.

Ten ostatni punkt jest najbardziej delikatny i nawet niezłomnie bezinteresowny RKW nie może go pominąć. Krytyk literacki, filmowy czy teatralny, chwaląc lub niszcząc omawiany utwór, w niewielkiej tylko mierze stanowi o jego losie. Krytyk literacki pochlebną recenzją sprawi, że sprzedaż powieści wzrośnie o kilkaset egzemplarzy; krytyk filmowy może unicestwić pornograficzną komedyjkę, która mimo to przyniesie astronomiczny dochód; podobnie krytyk teatralny. Natomiast RKW samą swoją interwencją przyczynia się do wzrostu, czasem nawet dziesięciokrotnego, notowań całego dorobku artysty.

To wszystko określa także sytuację RKW jako krytyka. Krytyk literacki może pisać źle o autorze, którego prawdopodobnie nie zna lub który (zazwyczaj) nie jest w stanie sprawdzić, czy w danym czasopiśmie ukazała się recenzja. Artysta natomiast zamawia i sprawdza katalog. Nawet jeśli powie RKW: „Nie wahaj się być surowy”, to w rzeczywistości sytuacja jest nie do zniesienia. Albo się odmawia – ale wiemy już, że nie można – albo trzeba być co najmniej uprzejmym. Albo wymijającym.

Dlatego właśnie – skoro RKW pragnie uratować i własną godność, i przyjaźń z artystą – istotą katalogów dzieł sztuki staje się niejasność.

Rozważmy wyimaginowany przypadek malarza Prosciuttiniego, który od trzydziestu lat maluje tło barwy ochry, pośrodku niebieski trójkąt równoramienny o podstawie równoległej do południowego brzegu obrazu, na niego zaś nakłada się przezroczysty trójkąt nierównoramienny pochylony w kierunku południowo-wschodnim względem podstawy trójkąta niebieskiego. RKW będzie musiał uwzględnić fakt, że w zależności od okresu historycznego Prosciuttini w latach 1950–1980 tytułował swój obraz kolejno: *Kompozycja, Dwa plus nieskończoność, $E=Mc^2$, Allende, Allende, Chile się nie podda, Le Nom du Père, Po/przez, Prywatność*. Jak może w podobnej sytuacji postąpić RKW, żeby zachować przyzwoitość? Jeśli jest poetą, poradzi sobie łatwo, dedykując Prosciuttiniemu wiersz. Na przykład taki: „Jak strzała (ach, okrutny Zenonie!) – siłą rozpędu – innego grotu – wykreśla parasangę – chorego kosmosu – czarnych dziur – wielobarwnych”. Rozwiązanie zapewniające prestiż RKW, Prosciuttiniemu, właścicielowi galerii i nabywcy.

Inne rozwiązanie zastrzeżone jest wyłącznie dla powieściopisarzy i ma postać listu otwartego zredagowanego nadzwyczaj swobodnie: „Drogi Panie Prosciuttini, oglądając Pańskie trójkąty, znajduję się ponownie w Uqbar, świadkiem Jorge Luis... To Pierre Menard przypominający mi formy odtworzone w innej epoce, don Pitagoras z Manczy. Lubieżność obrócona o sto osiemdziesiąt stopni; czy zdołamy oswobodzić się z więzów Konieczności? Czerwcowy poranek, pole zalane słońcem, partyzant powieszony na słupie telefonicznym. Byłem dorastającym chłopcem, zwątpiłem w istotę Reguły...”. I tak dalej.

Łatwiejsze jest zadanie RKW będącego naukowcem. Może on wyjść z założenia (słusznego zresztą), że obraz jest także składnikiem Rzeczywistości. Wystarczy zatem, aby mówił o bardzo głęboko sięgających aspektach rzeczywistości, a nie skłamie. Na przykład: „Trójkąty Prosciuttiniego to grafy. Propozycjonalne funkcje konkretnych topologii. Wierzchołki. W jaki sposób się przechodzi od wierzchołka *U* do innego wierzchołka? Jak wiadomo, potrzebna jest funkcja wartościująca *F*, jeśli zaś *F* (*U*) jest mniejsza lub równa *F* (*V*), należy dla każdego uwzględnionego

wierzchołka *V* rozwinąć *U* tak, aby wygenerować wierzchołki pochodzące od *U*. Doskonałej funkcji wartościującej odpowiada zatem *F* (*U*) mniejsza lub równa *F* (*V*) przy *D* (*U*,*Q*) mniejszej wtedy lub równej *D* (*V*,*Q*), gdzie oczywiście *D* (*A*,*B*) oznacza odległość między *A* i *B* na grafie. Sztuka to matematyka. Tego uczy nas Prosciuttini".

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że rozwiązania tego rodzaju pasują do obrazu abstrakcyjnego, ale nie do obrazów Morandiego albo Guttusa. Nieprawda. Wszystko zależy naturalnie od zręczności naukowca. Ogólnikowo powiem, że dzisiaj, stosując z dostateczną dezynwolturą metaforyczną teorię katastrof Renégo Thoma, można dowieść, że martwe natury Morandiego przedstawiają formy na ostatecznym progu równowagi, poza którym naturalne kształty butelek zwinęłyby się w ostrze lancy nad sobą i przeciw sobie, nadpęknięte jak kryształ pod wpływem ultradźwięków; magia malarza zaś polega właśnie na przedstawieniu takiej krańcowej sytuacji. Można wykorzystać angielskie tłumaczenie terminu martwa natura, *still life*. *Still* jeszcze przez chwilę, ale jak długo? *Still-Until*... Magia różnicy między byciem jeszcze i byciem po.

Inna możliwość istniała od roku 1968 do – powiedzmy – 1972. Interpretacja polityczna. Uwagi o walce klas, zepsuciu przedmiotów splamionych komercjalizacją. Sztuka jako bunt przeciw światu towarów, trójkąty Prosciuttiniego jako formy, które nie chcą być rzeczami przeznaczonymi na wymianę, są otwarte na proletariacką inwencję zawłaszczoną przez drapieżnych kapitalistów. Powrót do złotego wieku albo zwiastowanie utopii, marzenie o czymś wielkim.

Wszystko, co zostało powiedziane wyżej, dotyczy RKW, który nie jest zawodowym krytykiem sztuki. Krytyk sztuki znajduje się w położeniu – jak by to ująć – bardziej krytycznym. Musi przecież mówić o dziele, ale bez formułowania ocen wartościujących. Rozwiązaniem najdogodniejszym jest dowieść, że artysta pracował w zgodzie z dominującą wizją świata, to znaczy – jak dziś mawiają – z Metafizyką Wpływu. Każda metafizyka wpływu odpowiada pewnemu sposobowi przedstawiania tego, co istnieje. Otóż obraz należy z pewnością do rzeczy istniejących oraz, nawet gdy jest

bardzo kiepski, oddaje w jakimś stopniu to, co istnieje (także obraz abstrakcyjny oddaje to, co mogłoby istnieć lub co istnieje we wszechświecie czystych form). Jeżeli na przykład metafizyka wpływu utrzymuje, że wszystko, co istnieje, jest niczym innym jak energią, to twierdzenie, że obraz Prosciuttiniego jest energią i energię przedstawia, nie stanowi nieprawdy. Jest co najwyżej banalne, lecz taki banał ratuje krytyka, uszczęśliwiając zarazem Prosciuttiniego, właściciela galerii i nabywcę.

Problem polega na wyodrębnieniu owej metafizyki wpływu, o której z racji jej popularności wszyscy kiedyś słyszeli. Można oczywiście twierdzić wraz z Berkeleyem, że *esse est percipi*, i oświadczyć, że dzieła Prosciuttiniego istnieją, bo są postrzegane; gdyby jednak wyodrębniona metafizyka nie była zbyt wpływowa, Prosciuttini i czytelnicy zauważyliby zbytnią oczywistość tego twierdzenia.

A zatem jeśli trójkąty Prosciuttiniego miałyby być wystawione w późnych latach pięćdziesiątych, byłoby wskazane, posiłkując się skrzyżowanymi wpływami Banfi-Paci i Sartre-Merleau-Ponty (a nade wszystko nauką Husserla), określić wymienione trójkąty jako „odbicie samego aktu intencjonalności, który tworząc obszary ejdetyczne, czyni z czystych form geometrycznych modalność *Lebenswelt*”. W tych czasach dopuszczalne były również wariacje w duchu psychologii postaci, gestaltyzmu. Nie obawiając się sprzeciwu, można było wtedy powiedzieć, że trójkąty Prosciuttiniego mają wymowę „postaciową”, ponieważ każdy trójkąt rozpoznawalny jako trójkąt ma taką wymowę. W latach sześćdziesiątych Prosciuttini wydałby się bardziej *up to date*, gdyby w jego trójkątach dostrzec strukturę zgodną z wzorcem struktur pokrewieństwa Lévi-Straussa. Manewrując między strukturalizmem a rokiem sześćdziesiątym ósmym, można by twierdzić, że w myśl teorii przeciwieństw Mao, łączącej heglowską triadę z binarnymi zasadami yin i yang, dwa trójkąty Prosciuttiniego podkreślają związek między przeciwieństwem pierwotnym a przeciwieństwem wtórnym. Proszę nie myśleć, że modelu strukturalistycznego nie da się zastosować również do

butelek Morandiego: butelka głęboka (*deep bottle*) przeciw butelce powierzchniowej.

Większe możliwości wyboru miał krytyk w latach siedemdziesiątych. Trójkąt niebieski przecięty trójkątem czerwonym to oczywiście objawienie Pragnienia podążającego za Innym, z którym nigdy się nie utożsami. Prosciuttini jest malarzem Różnicy lub wręcz Różnicy w Tożsamości. Różnica w tożsamości występuje także w stosunku „orzeł czy reszka" na monecie, lecz w trójkątach Prosciuttiniego można by również doszukać się przypadku Implozji, podobnie zresztą jak w obrazach Pollocka i we wprowadzaniu czopków do odbytu (czarne dziury). W trójkątach Prosciuttiniego występuje jednak ponadto wzajemne unicestwienie wartości użytkowej i wartości wymiennej.

Nawiązując umiejętnie do Różnicy w uśmiechu Giocondy, który widziany z boku przypomina zewnętrzną część narządu płciowego kobiety, a w każdym razie stanowi *béance*, w trójkątach Prosciuttiniego z ich wzajemnym unicestwianiem się i „katastroficzną" rotacją można by dojrzeć implozyjność męskiego członka wewnątrz zębatego sromu. Klęskę Fallusa. W konkluzji: złotą regułą RKW jest opisywać tak, aby opis można było odnieść nie tylko do innych obrazów, ale i do doświadczenia płynącego z obserwacji wystawy sklepu spożywczego. Jeśli RKW napisze: „W obrazach Prosciuttiniego postrzeganie form nie oznacza nigdy biernego dostosowywania się do wrażeń zmysłowych. Prosciuttini mówi nam, że nie ma percepcji, która nie byłaby interpretacją i pracą, a przejście od wrażeń do postrzegania to aktywność, praktyka, bycie-w-świecie jako budowanie *Abschattungen* umyślnie wyciętych z samego miąższu rzeczy-w-sobie" – czytelnik rozpozna wyrażaną przez Prosciuttiniego prawdę, bo jest ona zgodna z podstawowymi mechanizmami pozwalającymi odróżnić w sklepie mortadelę od sałatki włoskiej.

Wynikają stąd kryteria wykonalności i skuteczności, a także kryterium moralne: wystarczy powiedzieć prawdę. Można to oczywiście robić na różne sposoby.

1980

Suplement

Poniższy tekst napisałem w rzeczywistości, aby zaprezentować malarstwo Antonia Fomeza według reguł postmodernistycznego operowania cytatami (patrz: Antonio Fomez, Da Ruoppolo a me, *Studio Annunciata, Milano 1982).*

Żeby podsunąć czytelnikowi (o pojęciu „czytelnik" por. D. Coste, *Three Concepts of the Reader and Their Contribution to a Theory of Literary Texts*, „Orbis Literarum" 1880, nr 34; W. Iser, *Der Akt des Lesens*, München 1972; tenże, *Der implizite Leser*, München 1976; U. Eco, *Lector in fabula*, Milano 1979; G. Prince, *Introduction à l'étude du narrataire,* „Poétique" 1973, nr 14; M. Nojgaard, *Le lecteur et la critique*, „Degrés" 1980, nr 21) kilka świeżych idei (por. B. Croce, *Estetica come scienza dell'espressione e linguistica generale*, Bari 1902; H. Bergson, *Oeuvres*, Édition du Centenaire, Paris 1963; E. Husserl, *Ideen zu einer Phänomenologie und phänomenologischen Philosophie*, Den Haag 1950) na temat malarstwa (o pojęciu „malarstwo" por. Cennino Cennini, *Trattato della pittura*; Bellori, *Vite d'artisti*; Vasari, *Le vite*; P. Barocchi, red., *Trattati d'arte del Cinquecento*, Bari 1960; Lomazzo, *Trattato dell'arte della pittura*; Alberti, *Della pittura*; Armenini, *De' veri precetti della pittura*; Baldinucci, *Vocabolario toscano dell'arte del disegno*; S. van Hoogstraaten, *Inleyding tot de Hooge Schoole der Schilderkonst*, VIII, 1, 1678, s. 279 i nast.; L. Dolce, *Dialogo della pittura*; Zuccari, *Idea de' pittori*) Antonia Fomeza (dotycząca go bibliografia ogólna w: G. Pedicini, *Fomez*, Milano 1980, zwł. s. 60–90), powinienem podjąć próbę analizy (por. H. Putnam, *The Analytic and the Synthetic*, w: *Mind, Language, and Reality*, t. 2, London-Cambridge 1975; M. White, red., *The Age of Analysis*, New York 1955) w formie (por. W. Köhler, *Gestalt Psychology*, New York 1947; P. Guillaume, *La*

psychologie de la forme, Paris 1937) niezwykle prostej i dopuszczającej różne interpretacje (por. J. Piaget, *La représentation du monde chez l'enfant*, Paris 1955; G. Kanizsa, *Grammatica del vedere*, Bologna 1981). Jest to jednak rzecz (o rzeczy w sobie por. I. Kant, *Kritik des reinen Vernunft*, 1781–1787) bardzo trudna na tym świecie (por. Arystoteles, *Metafizyka*) postmodernistycznym (por. por. ((por. (((por. por.))))))). A więc nic z tego (por. Sartre, *L'être et le néant*, Paris 1943). Pozostaje milczenie (Wittgenstein, *Tractatus*, 7). Wybacz, załatwimy to innym (por. J. Lacan, *Écrits*, Paris 1966) razem (por. Viollet-le-Duc, *Opera omnia*).

Jak urządzić bibliotekę publiczną

1. Katalogi powinny być jak najbardziej rozdrobnione. Należy starannie oddzielić katalog książek od katalogu czasopism, oba zaś od katalogu przedmiotowego i od katalogów książek nowo nabytych i nabytych dawniej. W tych ostatnich dwóch katalogach (książek nowych i dawnych) ortografia w miarę możności powinna być różna: na przykład w nowych nabytkach słowo „retoryka” piszemy przez jedno „t”, a w dawnych – przez dwa „t”; nazwisko „Czajkowski” w książkach nowych przez „Cz”, a w dawnych na sposób francuski przez „Tch”.

2. O hasłach przedmiotowych decyduje bibliotekarz. W kolofonach książek nie należy umieszczać wskazówek dotyczących haseł przedmiotowych, pod którymi dany tytuł ma być skatalogowany.

3. Sygnatury winny być jak najdłuższe i możliwie skomplikowane, tak by osoba wypełniająca rewers nie miała miejsca na wpisanie ostatnich znaków i mogła uznać te końcówki za pozbawione znaczenia. Wtedy obsługujący zwróci jej rewers, aby wypełniła go ponownie.

4. Między złożeniem zamówienia a otrzymaniem książki powinno upłynąć jak najwięcej czasu.

5. Nie wydaje się więcej niż jedną książkę naraz.

6. Książek otrzymanych od personelu po złożeniu rewersu nie wolno zabierać do czytelni podręcznej, czytelnik ma zatem rozróżniać w swoim życiu dwie podstawowe czynności: lekturę jako taką i zasięganie informacji. Biblioteka powinna zniechęcać do czytania w tym samym czasie więcej niż jednej książki; można od tego nabawić się zeza.

7. W miarę możności powinien obowiązywać całkowity brak kserokopiarek. Jeżeli mimo to jakaś już jest, dostęp do niej ma być maksymalnie utrudniony, oczekiwanie bardzo długie, koszt przewyższający

opłaty na mieście, liczba kserokopii zredukowana do najwyżej dwóch, trzech stron.

8. Bibliotekarz ma widzieć w czytelniku wroga, obiboka (powinien przecież być w pracy) i potencjalnego złodzieja.

9. Dział informacji winien być niedostępny.

10. Do wypożyczania książek należy zniechęcać.

11. Wypożyczanie międzybiblioteczne powinno być niemożliwe, a przynajmniej trwać wiele miesięcy. Najlepiej jest jednak zupełnie uniemożliwić zasięganie informacji o zasobach innych bibliotek.

12. Wszystko powinno maksymalnie ułatwiać kradzieże.

13. Po konsultacji ze związkami zawodowymi godziny otwarcia należy całkowicie ujednolicić z ogólnie obowiązującymi godzinami pracy. W soboty, niedziele, wieczorem i w porze posiłków biblioteka powinna bezwzględnie pozostawać zamknięta. Najgorszym wrogiem biblioteki jest pracujący student, najlepszym przyjacielem – Don Ferrante z *Narzeczonych* Manzoniego, człowiek, który posiada własny księgozbiór, nie potrzebuje zatem korzystać z biblioteki publicznej, a ponadto, umierając, zostawia swoje książki spadkobiercom.

14. Na terenie biblioteki w żaden sposób nie wolno się posilać. Zresztą nie wolno też posilać się poza biblioteką, jeśli nie oddało się do depozytu wszystkich otrzymanych książek; po wypiciu kawy trzeba będzie ponownie je zamawiać.

15. Czytelnik nie może odzyskać książki, z której korzystał poprzedniego dnia.

16. Czytelnik nie może się dowiedzieć, kto wypożyczył niedostępną książkę.

17. W miarę możności – zupełny brak ubikacji.

18. W warunkach idealnych czytelnik miałby zakaz wstępu do biblioteki. A gdyby już tam wszedł, korzystając z nagannym uporem i w sposób antypatyczny z prawa, które mu przyznano zgodnie z ideami rewolucji 1789 roku, a którego zbiorowa wrażliwość jeszcze sobie nie przyswoiła,

nigdy i pod żadnym pozorem nie mógłby – pomijając krótkie pobyty w czytelni podręcznej – uzyskać dostępu do sanktuarium półek z książkami.

UWAGA ZASTRZEŻONA. Cały personel powinny cechować ułomności fizyczne, ponieważ zadaniem instytucji publicznej jest zapewnić zatrudnienie obywatelom niepełnosprawnym (rozważa się obecnie możliwość zastosowania tej reguły także w Korpusie Straży Pożarnej). Bibliotekarz idealny musi przede wszystkim utykać, aby zejście do podziemi po przyjęciu rewersu i powrót zajęły mu jak najwięcej czasu. Personelowi jednoramiennemu, który wchodzi po szczeblach drabiny, aby dostać się do półek na wysokości przekraczającej osiem metrów, ze względów bezpieczeństwa zaleca się zastąpienie brakującego ramienia zakończoną hakiem protezą. Personel całkowicie pozbawiony kończyn górnych ma nosić książki w zębach (przepis zmierzający do zapobieżenia wydawaniu tomów w formacie większym niż in octavo).

1981

Jak inteligentnie spędzić urlop

Dobry obyczaj nakazuje, aby wraz ze zbliżaniem się letniego sezonu urlopowego czasopisma polityczno-kulturalne doradzały czytelnikom minimum dziesięć inteligentnych książek, które pomogą im inteligentnie spędzić inteligentny urlop. Dominuje jednak niemiły nawyk dopatrywania się w czytelniku półinteligenta, i tak widzimy znakomitych nawet pisarzy usiłujących ze wszech sił zachęcać do lektur, które każda przeciętnie wykształcona osoba powinna mieć za sobą co najmniej od czasów szkoły średniej. Wydaje się nam zatem, że doradzając czytelnikowi na przykład niemiecki oryginał *Powinowactw z wyboru*, Prousta w wydaniu La Pléiade lub pisma łacińskie Petrarki, obrażamy go, a w każdym razie traktujemy z góry. Musimy wziąć pod uwagę, że poddawany tak długo tak wielu radom czytelnik staje się coraz bardziej wymagający; trzeba też pamiętać o tych, którzy nie mogąc pozwolić sobie na urlop kosztowny, nie obawiają się doświadczeń kłopotliwych, ale i ekscytujących.

Osobie zamierzającej przebywać długie godziny na plaży doradziłbym *Ars magna lucis et umbrae* ojca Athanasiusa Kirchera, dzieło prawdziwie urocze dla tego, kto pod działaniem promieni podczerwonych pragnie rozmyślać nad cudem światła i zwierciadeł. Wydanie rzymskie z 1645 roku jest jeszcze dostępne w antykwariatach po cenie, która z pewnością nie dorównuje sumom wywiezionym przez Calviego[1] do Szwajcarii. Nie radzę wypożyczać tej książki, gdyż można ją znaleźć wyłącznie w bibliotekach mieszczących się w starych pałacach, gdzie obsługującym brak zazwyczaj prawego ramienia lub lewego oka, przez co, wdrapując się do działu książek rzadkich, spadają z drabinek. Inną niedogodność stanowią kruchość papieru i objętość dzieła; nie należy go czytać, kiedy wiatr przewraca parasole przeciwsłoneczne.

Natomiast młody człowiek próbujący podróżować po Europie z biletem ulgowym drugiej klasy i w konsekwencji zmuszony czytać w pociągach, na zatłoczonych do ostateczności korytarzach, stojąc z ramieniem za oknem, mógłby zabrać ze sobą przynajmniej trzy z sześciu tomów Ramusia wydawnictwa Einaudi. Czytałby je, trzymając jeden w rękach, drugi pod pachą, trzeci przyciśnięty udem do pachwiny. Czytanie o podróżach w podróży to intensywne, stymulujące doświadczenie.

Młodzieży wyleczonej z (lub zniechęconej do) działalności politycznej, lecz pragnącej śledzić problemy Trzeciego Świata, poleciłbym jakieś arcydziełko filozofii muzułmańskiej. Adelphi wydało ostatnio *Księgę rad* Kajkawusa ibn Iskandara, lecz niestety bez irańskiego oryginału na sąsiednich stronach, co oczywiście pozbawia ją całego uroku. Zamiast niej rekomenduję więc czarującą *Kitab al-Saada wa al-asad* Abu al-Hasana al-Amiriego, do nabycia w Teheranie w wydaniu krytycznym z 1957 roku.

Jako że nie wszyscy czytają biegle w językach Środkowego Wschodu, osobom poruszającym się samochodem z miejscem na bagaż bardzo się przyda kompletny zestaw *Patrologii* Migne’a. Odradzam wybór ojców greckich do soboru florenckiego w 1440 roku, ponieważ należałoby wtedy zabrać ze sobą 161 tomów wydania grecko-łacińskiego i 81 wydania łacińskiego, wybierając zaś ojców łacińskich do 1216 roku, można ograniczyć się do 218 tomów. Wiem doskonale, że nie wszystkie są dostępne na rynku księgarskim, ale zawsze można zadowolić się kserokopiami. Ludziom o zainteresowaniach mniej specjalistycznych doradziłbym wiele cennych dzieł (wszystkie w oryginale) odnoszących się do tradycji kabalistycznej (dzisiaj nieodzownych dla zrozumienia współczesnej poezji). Wystarczy kilka: egzemplarz *Sefer Jecira*, *Zohar* oczywiście, potem Mojżesz Kordowero i Izaak Luria. Twórczość kabalistyczna jest jakby stworzona po to, by z niej korzystać podczas urlopu, ponieważ świetnie zachowane oryginały dzieł najstarszych można jeszcze znaleźć w zwojach, które nawet autostopowicz łatwo pomieści w plecaku. Daje się też z powodzeniem spożytkować w wioskach Club Méditerranée, gdzie wczasowicze pod kierunkiem animatorów czasu

wolnego mogą się podzielić na dwie drużyny i współzawodniczyć w lepieniu najsympatyczniejszego Golema. Wreszcie dla tych, którym trudność sprawia język hebrajski, są *Corpus hermeticum* i pisma gnostyków (lepiej wybierać Walentyna, bo Bazylides jest często rozwlekły i irytujący).

A więc to wszystko (i nie tylko) pozwoli wam inteligentnie spędzić urlop. Jeśli nie, powiem krótko: zabierzcie ze sobą *Grundriss*[2], apokryficzne Ewangelie i zmikrofilmowane inedita Peirce'a. Czasopisma kulturalne to przecież nie biuletyn dla szkół podstawowych.

1981

Jak zdobyć wtórnik skradzionego prawa jazdy

W maju 1981 roku, będąc przejazdem w Amsterdamie, gubię (albo kradną mi w tramwaju, bo kieszonkowców nie brak nawet w Holandii) portfel zawierający mało pieniędzy, za to dużo legitymacji i dokumentów. Zauważam to w chwili wyjazdu, na lotnisku, i natychmiast stwierdzam brak karty kredytowej. Odlot za pół godziny; zaczynam więc nerwowo poszukiwać miejsca, gdzie mógłbym zgłosić stratę. Po pięciu minutach przyjmuje mnie sierżant lotniskowej policji, dobrze mówiący po angielsku. Tłumaczy mi, że nie jest w tej sprawie kompetentny, ponieważ portfel straciłem na terenie miasta; godzi się jednak wystukać na maszynie protokół i zapewnia mnie, że o dziewiątej, kiedy otwierają biura, osobiście zadzwoni do American Express; i tak w dziesięć minut rozwiązuje mój problem w jego holenderskim aspekcie. Po powrocie do Mediolanu telefonuję do American Express, numer mojej karty zostaje przekazany całemu światu, a następnego dnia dostaję nową kartę. Jakże pięknie jest żyć w cywilizacji, mówię sobie.

Liczę potem w myślach inne utracone legitymacje i zgłaszam sprawę w komendzie policji; czas: dziesięć minut. Jakież to piękne, mówię sobie, nasza policja dorównuje holenderskiej. Wśród dokumentów była też legitymacja Stowarzyszenia Dziennikarzy; już po trzech dniach otrzymuję jej duplikat. Jakież to piękne!

Na nieszczęście straciłem również prawo jazdy. Wydało mi się to małym zmartwieniem. Żyjemy w centrum przemysłu samochodowego, Ford to nasza przyszłość, jesteśmy krajem autostrad. Dzwonię do Automobilklubu i słyszę, że wystarczy, abym podał im numer utraconego prawa jazdy. Stwierdzam, że nigdzie go nie zapisałem, figurował tylko na tym właśnie prawie. Usiłuję zatem się dowiedzieć, czy nie mogą go poszukać pod moim nazwiskiem. Otóż wygląda na to, że nie mogą.

Muszę jeździć samochodem, to sprawa życia i śmierci. Postanawiam więc zrobić to, czego zazwyczaj nie robię: spróbować drogi okrężnej dla uprzywilejowanych. Zazwyczaj tego nie robię, bo nie lubię naprzykrzać się przyjaciołom lub znajomym i nie znoszę tych, którzy w podobny sposób postępują ze mną. Ponadto mieszkam przecież w Mediolanie, gdzie osoba potrzebująca jakiegoś dokumentu od władz miejskich nie musi telefonować do burmistrza, bo szybciej dostanie ów dokument, stając w kolejce do okienka, urzędnicy działają sprawnie. No ale wszystko, co dotyczy samochodu, trochę nas denerwuje. Dzwonię zatem do Wysoko Postawionej Osobistości z Automobilklubu w Rzymie, która kontaktuje mnie z inną Wysoko Postawioną Osobistością z Automobilklubu w Mediolanie, a ta zleca swojej sekretarce zrobić wszystko, co może. Może, niestety, niewiele, mimo że jest bardzo uprzejma.

Uczy mnie kilku sztuczek, skłania do odnalezienia starego pokwitowania z wypożyczalni samochodów Avis, na którym wypisano przez kalkę numer mojego prawa jazdy, sprawia, że w jeden dzień załatwiam formalności wstępne, potem kieruje mnie tam, gdzie pójść trzeba, to znaczy do działu motoryzacji w prefekturze. Ogromne pomieszczenie, w którym kłębi się zrozpaczony i smrodliwy tłum, coś w rodzaju dworca kolejowego w New Delhi z okresu powstania sipajów; opowiadający straszliwe historie petenci („Jestem tu już od czasów wojny libijskiej”[3]) biwakują tam zaopatrzeni w termosy i kanapki, a gdy po odczekaniu w kolejce podchodzą wreszcie do okienka, ono zamyka się im przed nosem – co właśnie mnie spotkało.

W każdym razie, mówię sobie, to tylko kwestia kilku dni stania w kolejce. Po dotarciu do okienka przekonujesz się niechybnie, że trzeba wypełnić inny rodzaj formularza lub kupić inny znaczek skarbowy, a więc znowu trafić do kolejki; no cóż, tak już być musi. Na koniec słyszę: wszystko w porządku, proszę wrócić za dwa tygodnie. Tymczasem jest się skazanym na taksówki.

Dwa tygodnie później omijam pewną liczbę petentów, którzy już się poddali lub popadli w przedagonalną śpiączkę. W okienku dowiaduję się, że numer przepisany z rachunku firmy Avis – wskutek błędu w tymże bądź

ze względu na kiepską jakość kalki, bądź z powodu złego stanu dawnego prawa jazdy – nie jest numerem właściwym. Nic się nie da zrobić, jeśli nie podam właściwego numeru. „Zgoda – powiadam – z pewnością nie możecie szukać numeru, którego nie umiem wam wskazać, ale możecie poszukać pod Eco i tam numer znajdziecie”. Nie: bądź przez złą wolę, bądź z powodu przepracowania, bądź też dlatego, że prawa jazdy rejestruje się w archiwum pod ich numerem, nie jest to możliwe. Proszę spróbować tam – słyszę – gdzie wyrobił pan sobie prawo jazdy po raz pierwszy, w Alessandrii, wiele lat temu. Tam powinni podać panu numer.

Nie mam czasu na podróż do Alessandrii, także dlatego, że nie mogę jechać samochodem. Idę więc znowu na skróty: dzwonię do kolegi z liceum, który jest teraz Wysoko Postawioną Osobistością w tamtejszych władzach finansowych, i proszę o telefon do Inspektoratu Motoryzacji. Kolega w podobnie nieuczciwy sposób telefonuje bezpośrednio do Wysoko Postawionej Osobistości w Inspektoracie Motoryzacji, która oświadcza mu, że informacji tego rodzaju wolno udzielać wyłącznie karabinierom. Sądzę, że czytelnik uświadamia sobie, w jak wielkim niebezpieczeństwie znalazłyby się instytucje państwowe, gdyby numer mojego prawa jazdy poznał byle kto. Kaddafi i KGB na nic innego nie czekają. A zatem *top secret*.

Wracam myślami w przeszłość i przypominam sobie innego towarzysza ze szkolnej ławy, obecnie Wysoko Postawioną Osobistość w Państwowej Instytucji. Sugeruję mu jednak, aby nie zwracał się do wysoko postawionych osobistości z dziedziny motoryzacji, bo to niebezpieczne, sprawą mogłaby się zająć komisja parlamentarna. W moim przekonaniu trzeba raczej znaleźć osobistość postawioną nisko, może nocnego stróża, którego dałoby się przekupić i nakłonić do pogrzebania nocą w archiwum. Wysoko Postawiona Osobistość w Państwowej Instytucji ma szczęście: znajduje średnio postawioną osobistość z działu motoryzacji, której nie trzeba nawet przekupywać, gdyż jest stałym czytelnikiem „L’Espresso” i z miłości do kultury postanawia oddać tę cenną przysługę swojemu ulubionemu felietoniście (to znaczy mnie). Nie wiem, co zrobiła ta

odważna osoba, lecz faktem jest, że następnego dnia znam już numer prawa jazdy. Czytelnicy mi wybaczą, że go tutaj nie podaję; muszę przecież dbać o dobro rodziny.

Z tym numerem (zapisanym już w różnych miejscach i schowanym w tajnych szufladkach z obawy przed ewentualnym ponownym zgubieniem lub kradzieżą) czekam znowu w kolejkach kompetentnych mediolańskich biur, wreszcie powiewam nim tryumfalnie przed oczami podejrzliwego urzędnika. Ten jednak z uśmiechem pozbawionym śladu człowieczeństwa oświadcza, że muszę jeszcze podać mu liczbę dziennika pisma, w którym władze z Alessandrii przekazały numer prawa jazdy władzom mediolańskim.

Chwytam znowu za telefon, wydzwaniam do szkolnych kolegów, nieszczęsna średnio postawiona osobistość, która tak bardzo już się naraziła, szturmuje ponownie, popełnia kilka tuzinów przestępstw, wykrada wiadomość nadzwyczaj ważną – jak się wydaje – dla karabinierów i przekazuje mi liczbę dziennika; ją też ukrywam, bo – jak wiadomo – nawet ściany mają uszy.

Wracam do mediolańskiego urzędu i zaledwie po kilku dniach stania w kolejce dowiaduję się, że magiczny dokument otrzymam za dwa tygodnie. Jest już prawie koniec czerwca i mam wreszcie w ręku zaświadczenie z informacją, że złożyłem podanie w celu uzyskania wtórnika prawa jazdy. Nie istnieją oczywiście formularze potwierdzające utratę wyżej wymienionego, więc zaświadczenie jest z tych, które dostają osoby dopiero uczące się jeździć i niemające jeszcze prawa jazdy. Pokazuję pismo policjantowi z drogówki i pytam, czy upoważnia mnie ono do prowadzenia samochodu. Jego wyraz twarzy wprawia mnie w przygnębienie; zacny funkcjonariusz wyjaśnia, że gdyby przyłapał mnie za kierownicą z tym papierkiem, tobym pożałował, że się urodziłem.

Żałuję tego w istocie i wracam do właściwego urzędu, gdzie po kilku dniach dowiaduję się, że wydane zaświadczenie jest – że tak powiem – zaledwie przekąską. Mam teraz czekać na inne, które stwierdzi, że zgubiłem prawo jazdy i że wolno mi prowadzić, zanim otrzymam wtórnik,

władze bowiem ustaliły, że prawo jazdy już miałem. A więc dokładnie to, co wszyscy – poczynając od policji holenderskiej, a kończąc na włoskiej – dobrze wiedzą i co wie również urząd wydający prawa jazdy, choć nie chce tego wyraźnie powiedzieć, dopóki się nie namyśli. Proszę zauważyć, że wszystko to, co ów urząd mógłby chcieć wiedzieć, jest mu już dokładnie znane i że choćby zastanawiał się dalej bez końca, nigdy niczego innego się nie dowie. No cóż. W końcu czerwca wracam kilkakrotnie, aby pytać o losy zaświadczenia numer dwa. Wydaje się jednak, że jego przygotowanie jest bardzo pracochłonne; przez chwilę nawet w to uwierzyłem, ponieważ zażądano ode mnie tylu dokumentów i fotografii, że mogłoby ono przypominać paszport ze stronami opatrzonymi znakiem wodnym lub coś w tym rodzaju.

Jest koniec czerwca, wydałem już astronomiczne sumy na taksówki. Raz jeszcze próbuję pójść na skróty. Tam u licha, piszę przecież do gazet, może ktoś mógłby mi pomóc pod pretekstem, że muszę podróżować ze względu na dobro ogółu. Za pośrednictwem dwóch mediolańskich redakcji („Repubblica” i „L’Espresso”) udaje mi się skontaktować z biurem prasowym prefektury, gdzie poznaję miłą panią, która oświadcza, że zajmie się moją sprawą. Ta miła pani nie chwyta w ogóle za telefon. Odważnie udaje się sama do urzędu wydającego prawa jazdy i wkracza do sanktuarium, do którego zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu, w labirynt rzędów akt spoczywających tam od niepamiętnych czasów. Nie wiem, co robi (słyszę tylko stłumione okrzyki, hałas wywołany przez osuwające się teczki, a spod zamkniętych drzwi dobywają się tumany kurzu). Wreszcie pani pojawia się znowu, trzymając w ręku żółty formularz z cieniutkiego papieru, jak te, które dozorcy parkingów wtykają pod wycieraczkę, format dziewiętnaście na trzynaście centymetrów. Nie ma na nim żadnej fotografii, wypełniony jest ręcznie, najwyraźniej maczaną w kałamarzu z czasów De Amicisa zwykłą stalówką, ociekającą atramentem pełnym mętów i zawiesin, które zostawiają plamki na porowatym papierze. Widnieje na nim moje nazwisko oraz numer utraconego prawa jazdy; drukowanymi literami stwierdza się, że niniejszy arkusz zastępuje „opisane wyżej” prawo jazdy, ale ważny jest jedynie do dwudziestego dziewiątego grudnia (data

wyznaczona oczywiście po to, aby delikwent dał się zaskoczyć na obfitującej w zakręty drodze gdzieś wysoko w górach, najlepiej podczas zamieci śnieżnej, a policja będzie go wtedy mogła aresztować i poddać torturom).

Zaświadczenie upoważnia mnie do prowadzenia na terenie Włoch, lecz podejrzewam, że sprawiłoby poważny kłopot policjantowi cudzoziemskiemu, gdybym okazał je za granicą. No cóż. Teraz przynajmniej prowadzę. Streszczając, powiem, że w grudniu moje prawo jazdy jeszcze nie jest gotowe, mam trudności z przedłużeniem zaświadczenia, zwracam się ponownie do biura prasowego prefektury, dostaję ten sam arkusz, na którym niepewna ręka wypisała to samo, co mógłbym wypisać ja, czyli że ważność przedłuża się do najbliższego czerwca (znowu data wybrana tak, aby można mi było udowodnić wykroczenie, kiedy będę jechał brzegiem morza). Dowiaduję się też, że wtedy zaświadczenie zostanie odnowione raz jeszcze, ponieważ na prawo jazdy będę musiał poczekać dłużej. Napotkani w kolejkach towarzysze niedoli zapewniają mnie łamiącym się głosem, że są tacy, co bez prawa jazdy pozostają przez dwa, trzy lata.

Przedwczoraj przylepiłem na arkuszu ważny rok znaczek skarbowy. Kioskarz poradził mi, żeby go nie stemplować, bo jeśli prawo jazdy otrzymam, będę musiał kupić jeszcze jeden. Sądzę jednak, że gdybym nie podstemplował, popełniłbym przestępstwo.

Pora na trzy uwagi. Pierwsza: uzyskałem zaświadczenie w dwa miesiące, ponieważ dzięki zajmowanemu w społeczeństwie miejscu i wykształceniu cieszę się wieloma przywilejami, które umożliwiły mi zaangażowanie w sprawę kilku Wysoko Postawionych Osobistości w trzech miastach, sześciu instytucji publicznych i prywatnych oraz jednego dziennika i jednego tygodnika o ogólnokrajowym zasięgu. Gdybym był właścicielem drogerii lub zwykłym urzędnikiem, musiałbym teraz kupować sobie rower. Żeby uzyskać wtórnik prawa jazdy, trzeba być Liciem Gellim[4].

Druga uwaga jest taka. Przechowywane przeze mnie zazdrośnie w portfelu zaświadczenie to dokument całkowicie bezwartościowy,

nadzwyczaj łatwy do podrobienia. Kraj jest więc pełen kierowców, których trudno zidentyfikować. Masowe bezprawie, czyli fikcja legalności.

Trzecia uwaga wymaga skupienia, czytelnik powinien odtworzyć sobie w myślach wygląd prawa jazdy. Ponieważ nie dostaje się go już w okładce, lecz trzeba ją kupić samemu, prawo jazdy to opatrzona fotografią książeczka o dwóch lub trzech kartkach z papieru kiepskiej jakości. Książeczek takich nie produkuje się w Fabriano jak książek Franca Marii Ricciego[5], nie są tłoczone ręcznie przez nadzwyczaj sprawnych rzemieślników, można by je drukować w jakiejkolwiek najpośledniejszej drukarni. Od czasów Gutenberga cywilizacja zachodnia jest w stanie wyprodukować ich wiele tysięcy w kilka godzin (zresztą już Chińczycy wynaleźli dość szybkie sposoby posługiwania się czcionką odręczną).

Czy byłoby więc trudno sporządzić tysiące takich książeczek, powklejać do nich zdjęcia ofiar i wydawać je choćby z dystrybutora na żetony? Co się dzieje w krętych korytarzach kompetentnego urzędu?

Wszyscy wiemy, że członek Czerwonych Brygad potrafi wyprodukować w kilka godzin dziesiątki fałszywych praw jazdy, a zauważmy, że wyprodukować fałszywe prawo jazdy jest trudniej niż prawdziwe. Żeby zatem uniemożliwić obywatelowi bez prawa jazdy krążenie po podejrzanych knajpkach w nadziei na nawiązanie kontaktu z jakimś członkiem Czerwonych Brygad, pozostaje tylko jedno rozwiązanie: zatrudnić skruszonych bojowników Brygad w biurach wydających prawa jazdy. Mają oni to, co zwie się *know how*, wolnego czasu im nie brak, praca – jak wiadomo – czyni człowieka wolnym, za jednym więc zamachem opróżniłoby się w więzieniach wiele cel, a użyteczne społeczeństwu stałyby się osoby, które w przeciwnym wypadku, zmuszone do bezczynności, znowu mogłyby ulec niebezpiecznym marzeniom o wszechmocy – same korzyści zarówno dla obywatela na czterech kołach, jak i dla psa na sześciu nogach[6].

Może byłoby to jednak zbyt proste. Moim zdaniem za tą historią z prawami jazdy kryją się knowania jakiegoś obcego mocarstwa.

1982

Jak korzystać z instrukcji

Niewątpliwie wszyscy bywalcy kawiarń mieli kłopot z cukiernicą, której pokrywka spada jak ostrze gilotyny i podrzuca napełnioną właśnie łyżeczkę, sprawiając, że cukier rozsypuje się wokoło. Każdy pomyślał zapewne, że wynalazca takiego przyrządu powinien trafić do obozu koncentracyjnego, lecz on prawdopodobnie cieszy się owocami swojego przestępstwa na jakiejś ekskluzywnej plaży. Amerykański humorysta Shelley Berman wyraził kiedyś przypuszczenie, że to ten sam człowiek, który wkrótce wynajdzie bezpieczny samochód, z drzwiami otwierającymi się tylko od wewnątrz.

Przez kilka lat jeździłem autem pod wieloma względami doskonałym, tyle że popielniczka dla kierowcy umieszczona była na drzwiach po jego lewej stronie. Każdemu wiadomo, że prowadzi się, trzymając lewą rękę na kierownicy, prawa zaś pozostaje wolna, aby zmieniać biegi i manipulować różnymi przyciskami. Jeżeli więc prowadzący pali (zgadzam się, że nie powinien), ma papierosa w prawej ręce. Żeby zatem strącić popiół po stronie swojego lewego ramienia, musi wykonać skomplikowaną operację, odrywając wzrok od jezdni. W takim samochodzie, o jakim wspomniałem, który osiąga prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, strącenie popiołu wymagające kilku sekund roztargnienia oznacza grzeszne wbicie się w tyłek jadącego przed nami tira. Pan wynalazca owego rozwiązania jest specjalistą odpowiedzialnym za śmierć wielu ludzi – nie z powodu raka grożącego palaczom, lecz wskutek zderzenia z ciałem obcym.

Niezwykłą przyjemność sprawia mi zajmowanie się komputerowymi programami edytorskimi różnych odmian. Przy zakupie takiego programu otrzymuje się pakiet zawierający dyski, instrukcje i licencję, całość w cenie od ośmiuset tysięcy do półtora miliona lirów; potem można się uczyć albo z pomocą instruktora firmy, albo z podręcznika. Instruktor firmy jest

zazwyczaj przeszkolony przez wynalazcę opisanej wyżej cukiernicy, najlepiej więc strzelić do niego z rewolweru dużego kalibru, zaledwie przekroczy próg naszego domu. Dostanie się za to ze dwadzieścia lat, może mniej dzięki dobremu adwokatowi, lecz i tak zaoszczędzi się sporo czasu.

Prawdziwy kłopot się zaczyna, kiedy zaglądacie do podręcznika; zaznaczam, że moje uwagi dotyczą wszelkich podręczników obsługi każdego rodzaju urządzeń informatycznych. Instrukcja obsługi komputera mieści się w plastikowej torebce z ostrymi brzegami, którą należy przechowywać w miejscu niedostępnym dla dzieci. Wyjęte z torebki instrukcje wyglądają na zestaw wielostronicowych tomów oprawionych w żelbeton, a zatem niedających się przenieść z salonu do gabinetu; zatytułowane są przy tym tak, że nie wiadomo, od którego zacząć. Firmy mniej sadystyczne dostarczają wam zazwyczaj dwa podręczniki, firmy zdecydowanie perwersyjne – cztery.

Początkowo odnosi się wrażenie, że pierwszy tłumaczy postępowanie krok po kroku nierozgarniętym, drugi ma służyć osobom doświadczonym, trzeci – profesjonalistom, i tak dalej. Nieprawda. W każdym jest coś, czego nie ma w innym, informacje, których potrzebujecie od razu, są w podręczniku dla inżynierów, a wiadomości użyteczne dla inżynierów znajdują się w podręczniku dla nierozgarniętych. Na dodatek w przewidywaniu, że przez kolejne dziesięć lat będziecie podręcznik wzbogacali, nadano mu kształt segregatora z mniej więcej trzystu luźnymi kartkami.

Ktokolwiek posługiwał się segregatorem, wie, że po jedno- lub dwukrotnym użyciu (pomijam już fakt, że strony trudno obracać) jego okucia się wyginają i segregator wkrótce eksploduje, rozsypując kartki po całym pokoju. Istoty ludzkie szukające informacji są przyzwyczajone do manipulowania przedmiotem o nazwie książka, który może mieć kolorowe brzegi lub wcięcia, jak na przykład książka telefoniczna, co ułatwia szybkie znalezienie tego, czego się potrzebuje. Autorzy podręczników obsługi komputera o tym oczywistym dla człowieka przyzwyczajeniu nie wiedzą i dostarczają mu przedmioty, których trwałość nie przekracza zwykle ośmiu

godzin. Jedynym racjonalnym rozwiązaniem jest rozczłonkować podręczniki, studiować je przez pół roku przy pomocy jakiegoś etruskologa, streścić zawartość na czterech fiszkach (więcej nie potrzeba), a same podręczniki wyrzucić.

1985

Jak wystrzegać się chorób zakaźnych

Wiele lat temu pewien aktor telewizyjny nierobiący tajemnicy ze swojego homoseksualizmu powiedział przystojnemu młodzieńcowi, którego otwarcie usiłował uwieść: „Chodzisz z kobietami? Nie wiesz, że można się od nich zarazić rakiem?”. Te słowa cytuje się jeszcze w korytarzach budynku przy corso Sempione[7], ale teraz już nie czas na żarty. Jak czytam, profesor Matré odkrył, że stosunek heteroseksualny powoduje raka. Nareszcie. Dodam: stosunek heteroseksualny powoduje śmierć *tout court*. Nawet dzieci wiedzą, że służy rozmnażaniu, a im więcej ludzi się rodzi, tym więcej umiera.

Psychoza wywołana przez AIDS groziła ograniczeniem działalności jedynie homoseksualistom, osłabiając poczucie demokracji. Teraz ograniczymy działalność heteroseksualną i znowu wszyscy będziemy równi. Byliśmy zbyt beztroscy, powrót zagrożenia sprawia, że wyraźniej uświadamiamy sobie nasze prawa i obowiązki.

Pragnę jednakże podkreślić, że sprawa AIDS jest poważniejsza, niż przypuszczaliśmy, i dotyczy nie tylko homoseksualistów. Nie chcę zbytnio szerzyć niepokoju, lecz pozwolę sobie wskazać inne kategorie podwyższonego ryzyka.

Wolne zawody

Nie uczęszczać do teatrów awangardowych w Nowym Jorku. Jak wiadomo, anglosascy aktorzy ze względów fonetycznych dużo plują, wystarczy popatrzeć pod światło na ich profile; w teatrzykach eksperymentalnych widz znajduje się w bezpośrednim kontakcie z wytryskami śliny aktora. Deputowani do parlamentu nie powinni utrzymywać stosunków z członkami mafii, aby nie musieć całować w rękę

ojca chrzestnego. Odradza się przystępowanie do kamorry ze względu na obowiązujący rytuał krwi. Kto próbuje zrobić karierę polityczną poprzez działalność w organizacji katolickiej Wspólnota i Wyzwolenie, musi unikać komunii, podczas której zarazki przedostają się z ust do ust na palcach duchownego – pomijając już ryzyko, jakie niesie ze sobą spowiedź kierowana wprost do ucha.

Zwykli obywatele i robotnicy

Wiele ryzykują ubezpieczeni o zepsutych zębach, gdyż groźny jest kontakt z dentystą wsadzającym nam do ust ręce, którymi dotykał innych ust. Pływanie w morzu zanieczyszczonym wyciekającą z tankowców ropą naftową wzmaga ryzyko zakażenia, ponieważ olej mineralny przenosi cząstki śliny innych osób, które nałykały się go wcześniej i wypluły. Kto wypala więcej niż osiemdziesiąt gauloises dziennie, dotyka palcami, które dotykały już czegoś innego, końcówki papierosa, a wtedy zarazki przedostają się do dróg oddechowych. Należy unikać przeniesienia w stan tymczasowego bezrobocia, bo wówczas spędza się całe dnie na obgryzaniu paznokci. Wystrzegać się uprowadzenia przez sardyńskich pasterzy albo terrorystów, ponieważ porywacze często nakładają kilku porwanym ten sam kaptur. Nie podróżować pociągiem na trasie Florencja–Bolonia, gdyż wybuch rozrzuca szczątki ciał z niesłychaną szybkością, a w chwilach podobnego zamieszania trudno się przed nimi zabezpieczyć[8]. Unikać przebywania tam, gdzie spadają głowice jądrowe: na widok grzyba atomowego ludzie są skłonni podnosić ręce (nieumyte!) do ust i szeptać: „O mój Boże!”.

Kategorię podwyższonego ryzyka stanowią również: umierający, którzy całują krucyfiks; skazani na śmierć (jeżeli ostrza gilotyny nie zdezynfekowano dokładnie przed użyciem); przebywające w sierocińcach dzieci, które niedobra zakonnica przywiązuje za nogę do pryczy i zmusza do lizania posadzki.

Trzeci Świat

Szczególnie zagrożeni są czerwonoskórzy: jak wiadomo, obyczaj przekazywania sobie z ust do ust kalumetu spowodował zagładę narodu indiańskiego. Mieszkańców Środkowego Wschodu i Afgańczyków liżą wielbłądy, stąd wysoka śmiertelność w Iranie i Iraku. *Desaparecido* wiele ryzykuje, jeśli torturujący go zbir pluje mu przy tym w twarz. Ludność Kambodży i mieszkańcy libańskich obozów powinni unikać krwawej łaźni, odradzanej przez dziewięciu lekarzy na dziesięciu (dziesiątym, bardziej wyrozumiałym, jest doktor Mengele).

Murzyni w Południowej Afryce narażeni są na infekcję, kiedy biały patrzy na nich z pogardą i gniewnie prycha śliną.

Więźniowie polityczni, bez względu na kolor skóry, powinni stanowczo zadbać o to, aby nie walił ich w zęby policjant, którego pięść miała uprzednio kontakt z dziąsłami innego przesłuchiwanego. Ludom dotkniętym endemiczną klęską głodu zaleca się unikać częstego przełykania, łagodzącego ból wywołany skrętem kiszek, ponieważ zmieszana z miazmatami środowiska ślina powoduje infekcję przewodu pokarmowego.

Taką edukacją sanitarną społeczeństwa powinny się zająć władze i prasa, zamiast histerycznie reagować na inne problemy, których rozwiązanie można z powodzeniem zostawić na później.

1985

Jak podróżować z łososiem

Czytając gazety, dochodzimy do wniosku, że udręką naszych czasów są dwa problemy: inwazja komputerów i niepokojące parcie do przodu Trzeciego Świata. Wszystko prawda, ja to wiem.

Moja niedawna podróż była krótka: dzień w Sztokholmie i trzy dni w Londynie. W Sztokholmie starczyło mi czasu na zakup ogromnego wędzonego łososia po bardzo niskiej cenie. Był starannie owinięty plastikiem, ale poinformowano mnie, że podczas podróży lepiej go trzymać w zimnie. Łatwo powiedzieć.

Na szczęście w Londynie mój wydawca zarezerwował mi pokój z barkiem-lodówką w luksusowym hotelu. Ale kiedy tam przybyłem, odniosłem wrażenie, że znalazłem się w pomieszczeniach jednego z poselstw w Pekinie w dniach powstania bokserów.

W holu biwakowały całe rodziny, owinięci w koce podróżni spali na walizkach... Pytam w recepcji, sami Hindusi plus garstka Malajów, i dowiaduję się, że kilka dni wcześniej w tym wielkim hotelu zainstalowano system komputerowy, ale jeszcze się nie dotarł i od dwóch godzin nie funkcjonuje. Nie sposób ustalić, który pokój jest wolny, a który zajęty. Trzeba czekać.

Pod wieczór komputer naprawiono i mogłem się wprowadzić do pokoju. Zaniepokojony już o swojego łososia, wyjąłem go z walizki i rozejrzałem się za barkiem.

W normalnych hotelach takie lodówki zawierają zazwyczaj dwie butelki piwa, dwie wody mineralnej, kilka buteleczek napojów alkoholowych, soki owocowe i dwie torebki orzeszków. W moim hotelu ogromna lodówka mieściła w sobie pięćdziesiąt różnych buteleczek: whisky, gin, drambuie, courvoisier, grand marnier i calvados, osiem małych butelek wody Perrier, dwie Vitelloise i Evian, trzy – średniej wielkości – szampana, wiele puszek

stouta, pale ale, piw holenderskich i niemieckich, białe wino włoskie i francuskie, orzeszki, słone paluszki, migdały, czekoladki i alka-seltzer. Miejsca na łososia nie było. Otworzyłem dwie pojemne szuflady i ulokowałem tam całą zawartość barku, łososia złożyłem w chłodzie i przestałem się nim zajmować. Kiedy wróciłem następnego dnia o czwartej, łosoś leżał na stole, a lodówka była znowu wypełniona po brzegi cennymi produktami. Otworzyłem szuflady i stwierdziłem, że jest w nich jeszcze wszystko, co dzień wcześniej tam ukryłem. Zadzwoniłem do recepcji i poleciłem zawiadomić personel na piętrze, że jeśli zastanie lodówkę pustą, to nie dlatego, że ja wszystko skonsumowałem, lecz ze względu na łososia. Odpowiedziano mi, że trzeba zapisać tę informację w komputerze głównym, także z następującego powodu: większość personelu nie mówi po angielsku i nie może otrzymywać zleceń ustnych, odbiera instrukcje wyłącznie w języku programowania Basic.

Otworzyłem dwie inne szuflady i przeniosłem tam zawartość lodówki, do której ponownie włożyłem łososia. Następnego dnia o czwartej łosoś spoczywał znowu na stole, wydając już podejrzany zapaszek.

W lodówce pełno było butelek i buteleczek, cztery szuflady przypominały szafę pancerną lokalu *speakeasy* z czasów prohibicji. Zadzwoniłem do recepcji i dowiedziałem się, że znowu jest awaria komputera. Uruchomiłem dzwonek i usiłowałem wytłumaczyć swoją sytuację facetowi z włosami spiętymi w kok na karku; mówił on jednak tylko dialektem, którego – jak wyjaśnił mi później znajomy antropolog – używano jedynie w Kafiristanie za czasów Aleksandra Wielkiego i Roksany.

Następnego ranka poszedłem podpisać rachunek. Opiewał na astronomiczną sumę. Wynikało z niego, że w dwa i pół dnia skonsumowałem kilka hektolitrów veuve clicquot, dziesięć litrów różnych whisky, w tym kilka słodowych wyjątkowo rzadkiego gatunku, osiem litrów ginu, dwadzieścia pięć litrów wody Perrier i Evian plus parę butelek San Pellegrino, soki owocowe w ilości wystarczającej do utrzymania przy życiu wszystkich dzieci, którym pomaga UNICEF, oraz tyle migdałów,

orzechów i orzeszków, że na ich widok zwymiotowałby nawet człowiek przeprowadzający autopsję bohaterów *Wielkiego żarcia*. Starałem się sprawę wyjaśnić, ale recepcjonista, obnażając w uśmiechu zęby zabarwione na czarno od żucia betelu, zapewnił mnie, że tak twierdzi komputer. Zażądałem adwokata, przyniesiono mi mango.

Mój wydawca się teraz wścieka, jestem w jego oczach pasożytem. Łosoś nie nadaje się do spożycia. Dzieci powiedziały mi, że powinienem trochę mniej pić.

1986

Jak dokonywać inwentaryzacji

Rząd obiecuje, że wreszcie zrobi się coś dla zapewnienia autonomii uniwersytetów. Uczelnie były autonomiczne w średniowieczu i działały lepiej niż dzisiaj. Uniwersytety amerykańskie, których doskonałość jest legendarna, korzystają z autonomii. Uniwersytety niemieckie zależą od landów, ale władze lokalne są bardziej giętkie niż administracja centralna i w wielu sprawach, jak na przykład wybór profesorów, land formalnie zatwierdza podjęte przez uniwersytet uchwały. We Włoszech uczony, który odkrył, że flogiston nie istnieje, ośmieli się to ogłosić jedynie pod warunkiem, że sam jest wykładowcą aksjomatyki flogistonu; raz włączony do ministerialnych spisów termin można zmienić tylko w wyniku mozolnych układów między wszystkimi uniwersytetami w kraju, Wysoką Radą do spraw Oświaty, ministrem i paroma innymi instytucjami, których nazw nie mogę sobie przypomnieć.

Badania naukowe robią postępy, ponieważ ktoś dostrzegł jakąś drogę, której nikt przed nim nie zauważył, a kilku innych, obdarzonych zdolnością nieskrępowanego podejmowania decyzji, postanawia mu uwierzyć. Jeżeli jednak przesunięcie krzesła w Vipiteno wymaga aprobaty Rzymu po wysłuchaniu opinii Chivasso, Terontoli, Afragoli, Montelepre i Decimomannu, staje się oczywiste, że w najlepszym wypadku krzesło zostanie przesunięte w chwili, gdy nikomu już nie będzie potrzebne.

Profesorami kontraktowymi powinni być uczeni z zewnątrz, sławni i posiadający kompetencje, których brak innym. Jednakże od złożenia wniosku przez uczelnię do uzyskania zgody ministerstwa upływa zazwyczaj tyle czasu, że prawie kończy się rok akademicki i pozostaje zaledwie kilka tygodni zajęć (zresztą ministerstwo może wtedy zgody nie wyrazić). Rzecz jasna, w tak niepewnej sytuacji trudno zaangażować

laureata Nagrody Nobla i ma się do dyspozycji jedynie bezrobotną kuzynkę dziekana.

Badania naukowe kuleją także z powodu biurokracji, przez którą traci się czas na rozwiązywanie śmiesznych wręcz problemów. Jestem dyrektorem instytutu uniwersyteckiego; sporo lat temu musieliśmy przeprowadzić bardzo dokładną inwentaryzację wyposażenia ruchomego. Zatrudnialiśmy tylko jedną urzędniczkę, więc miała na głowie mnóstwo innych spraw. Istniała możliwość powierzenia tego zadania prywatnej firmie, która zażądała trzystu tysięcy lirów. Pieniądze były, ale z przeznaczeniem na zakup wyposażenia podlegającego inwentaryzacji. Czy wolno zakwalifikować inwentaryzację jako coś podlegającego inwentaryzacji?

Musiałem powołać komisję logików, odrywając ich na trzy dni od prowadzonych badań. Dojrzeli oni w tym pytaniu coś wspólnego z paradoksem zbioru wszystkich zbiorów. Zadecydowali później, że czynność inwentaryzowania jest wydarzeniem, nie przedmiotem, więc nie może być zinwentaryzowana; wymaga jednak założenia rejestrów inwentaryzacyjnych, które jako przedmioty można inwentaryzować. Zleciliśmy prywatnej firmie nie umieszczać na rachunku czynności, lecz wpisać wynik, który został zinwentaryzowany. Oderwałem na kilka dni poważnych uczonych od ich właściwych zadań, ale uniknąłem więzienia.

Parę miesięcy temu przyszli do mnie woźni i oświadczyli, że zabrakło papieru toaletowego. Ja na to: trzeba kupić. Jednak sekretarka powiedziała, że zostały nam tylko fundusze na sprzęt podlegający inwentaryzacji, i zwróciła moją uwagę na fakt, że papier toaletowy można wprawdzie zinwentaryzować, lecz ma on pewną właściwość: z powodów, których nie będę tu wyjaśniał, niszczeje, a po rozkładzie znika z inwentarza. Powołałem komisję biologów, aby ustalić, czy da się zinwentaryzować zużyty papier higieniczny; jest to możliwe – oznajmili – ale należy się liczyć z bardzo wysokimi kosztami.

Powołałem komisję prawników, która podsunęła mi rozwiązanie. Kupuję papier toaletowy, wpisuję do inwentarza i zlecam rozmieścić go po ubikacjach w celach naukowych. Jeżeli papier znika, zgłaszam dokonaną

przez nieznanych sprawców kradzież zinwentaryzowanego sprzętu. Niestety, muszę ponawiać zgłoszenie co dwa dni i pewien inspektor służb specjalnych wyraził poważne wątpliwości co do kompetencji zarządzającego instytutem, do którego nieznani sprawcy mogą się wkradać tak łatwo i z tak dużą częstotliwością. Jestem podejrzany, ale doskonale zabezpieczony, nic mi nie zrobią.

Niedogodność w tym, że aby znaleźć rozwiązanie, musiałem na kilka dni oderwać znakomitych naukowców od ich prac dla dobra kraju, trwoniąc pieniądze ogółu pod postacią czasu personelu naukowego i administracyjnego, rozmów telefonicznych i papieru do faksu. Nikt jednak nie będzie oskarżony o marnowanie państwowych pieniędzy, jeśli dokonał tego zgodnie z prawem.

1986

Jak kupować gadżety

Samolot leci majestatycznie nad bezkresnymi równinami, nad pustyniami bez skazy. Kontynent amerykański potrafi jeszcze zaoferować chwile namacalnej prawie styczności z naturą. Zapominam o cywilizacji, tak jednak się składa, że w kieszeni oparcia przed moim fotelem, pośród instrukcji szybkiego opuszczania samolotu (w razie wypadku), obok informacji o wyświetlanym podczas lotu filmie i *Koncertów brandenburskich* w słuchawkach, tkwi egzemplarz „Discoveries” – broszury opatrzonej zachęcającymi zdjęciami i prezentującej przedmioty, które można zamówić pocztą. W następnych dniach podczas kolejnych lotów odkryję podobne broszury – „The American Traveller”, „Gifts with Personality” oraz inne tego rodzaju publikacje.

To urzekająca lektura. Gubię się w niej i zapominam o naturze monotonnej, ponieważ – jak się wydaje – *non facit saltus* (mam nadzieję, że mój samolot także). O ile bardziej interesująca jest kultura, która – jak wiadomo – służy doskonaleniu natury. Natura jest twarda i wroga, kultura natomiast pozwala człowiekowi wykonywać różne czynności z mniejszym wysiłkiem, zyskiwać na czasie. Kultura wyzwala ciało spod jarzma pracy, wprowadza w nastrój sprzyjający kontemplacji.

Proszę na przykład pomyśleć, jak kłopotliwe jest manewrowanie *nasal spray*, czyli jedną z tych aptekarskich buteleczek, które ściska się dwoma palcami, aby zbawienny aerozol przeniknął do nosa. Nie obawiajcie się. Viralizer (4 dolary 95 centów) to aparat, do którego wkłada się buteleczkę, a on ściska ją za was, skierowując strumień prosto w najdalsze zakamarki dróg oddechowych. Aparat trzeba oczywiście trzymać w ręku; sądząc po zdjęciu, wygląda to w sumie tak, jakbyś składał się do strzału z kałasznikowa, ale wszystko ma swoją cenę.

Zaskakuje mnie – a mam nadzieję, że nie zaskoczy boleśnie – kosztujący aż 150 dolarów Omniblanket. To w zasadzie ocieplany koc, wyposażony jednak w program elektroniczny regulujący temperaturę różnych części ciała. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli nocą zimno wam w plecy, a pocicie się z gorąca w pachwinie, to Omniblanket po właściwym zaprogramowaniu ogrzeje wam plecy, a ochłodzi pachwinę. Jeśli jesteście nerwowi, przewracacie się w łóżku, śpicie z głową tam, gdzie powinny być nogi – tym gorzej dla was. Opieczecie sobie jądra lub to, co zgodnie z płcią w tamtym miejscu macie. Sądzę, że od wynalazcy nie można już żądać ulepszeń, zmarł bowiem spalony na węgiel.

We śnie możecie oczywiście chrapać, dokuczając swoim partnerom lub partnerkom. Otóż Snore Stopper jest czymś w rodzaju zegarka, który przed zaśnięciem zakłada się na rękę. Zaledwie zaczynacie chrapać, Snore Stopper zauważa to za pośrednictwem czujnika słuchowego i wytwarza elektroniczny impuls, który poprzez ramię dociera do jednego z waszych ośrodków nerwowych i przerywa nie wiem dokładnie co, w każdym razie już nie chrapiecie. Kosztuje tylko 45 dolarów. Kłopot w tym, że odradza się korzystanie z niego chorym na serce, a ja podejrzewam, że mógłby zaszkodzić nawet prawdziwemu atlecie. Ponadto waży dwa funty, czyli prawie kilogram, nadaje się więc do użytku, kiedy śpicie z osobą, z którą łączą was dziesiątki lat współżycia, a nie podczas przygody jednej nocy: z umocowaną do ręki kilogramową maszyną uprawianie seksu mogłoby pociągnąć za sobą niepożądane incydenty.

Jak wiadomo, Amerykanie w trosce o pozbycie się cholesterolu uprawiają jogging, to znaczy biegają całymi godzinami, dopóki nie padną martwi wskutek zawału. Pulse Trainer (59 dolarów 95 centów) nosi się na ręce; przewód łączy go z gumowym kapturkiem, który naciąga się na palec wskazujący. Jeśli waszemu układowi krwionośnemu grozi zapaść, podobno odzywa się dzwonek alarmowy. To postęp. Wystarczy pomyśleć, że w krajach słabo rozwiniętych człowiek zatrzymuje się dopiero wtedy, kiedy brak mu tchu – to nader prymitywny wskaźnik i może dlatego dzieciom w Ghanie obcy jest jogging. Co jednak zastanawiające, mimo takiego

zaniedbania podwyższony cholesterol prawie w ogóle u nich nie występuje. Z Pulse Trainerem możecie biegać bez obaw, a jeśli założycie sobie na piersi i powyżej bioder dwa pasy Nike Monitor, poinformowany przez mikroprocesor i przez Doppler Effect Ultra Sound elektroniczny głos powie wam, ile i z jaką prędkością przebiegliście (300 dolarów).

Miłośnikom zwierząt polecam Bio Bet. Założony psu na szyję wysyła ultradźwięki (Pmbc Circuit), które uśmiercają pchły; cena tylko 25 dolarów. Nie wiem, czy można założyć go na własne ciało w celu wytępienia mendoweszek; bałbym się jak zazwyczaj skutków ubocznych. Baterii Duracell Litium w opakowaniu nie ma, pies musi sam je sobie kupić.

Shover Valet (34 dolary 95 centów) dostarcza wam w jednym zawieszanym na ścianie zespole lustro łazienkowe, które nie pokrywa się parą, radio, telewizor, pojemnik na żyletki i dozownik pianki do golenia. Reklamowany jest zapewnieniem, że może zamienić wasze monotonne czynności poranne w „niezwykłe przeżycie”. Spice Track (36 dolarów 95 centów) to elektroniczny aparat zawierający tubki wszelkich przypraw, jakie zdolni jesteście sobie wyobrazić. Ludzie ubodzy trzymają je na deszczułce nad kuchenką gazową i kiedy pragną – powiedzmy – posypać cynamonem swoją codzienną porcję kawioru, muszą brać tubkę palcami. Wy natomiast wystukujecie określony algorytm (myślę, że w systemie Turbo Pascal) i żądana przyprawa już sama krąży nad talerzem.

Jeżeli chcecie obdarować ukochaną osobę z okazji urodzin, za jedyne 30 dolarów wyspecjalizowana firma dostarczy jej egzemplarz „New York Timesa” z dnia, w którym przyszła na świat. Jeżeli nastąpiło to w dniu unicestwienia Hiroszimy lub trzęsienia ziemi w Mesynie, jej strata. Można w ten sposób również upokorzyć osobę znienawidzoną, urodzoną w dniu, w którym w ogóle nic się nie zdarzyło.

Podczas lotów dłuższych możecie wypożyczyć za trzy lub cztery dolary słuchawki i cieszyć się różnymi programami muzycznymi albo ścieżką dźwiękową pokazywanego właśnie filmu. Pasażerowie zmuszeni latać często, a obawiający się AIDS, mogą za 19 dolarów 95 centów zakupić

słuchawki osobiste, do własnego użytku (sterylizowane), które zabierają ze sobą w kolejne loty.

Podróżując po różnych krajach, będziecie chcieli wiedzieć, ilu dolarom równa się funt szterling i ilu hiszpańskim dublonom odpowiada jeden talar. Biedacy używają w tym celu ołówka lub kalkulatora za dziesięć tysięcy lirów; znajdują w gazetach kursy walut i liczą. Bogaci mogą nabyć Currency Converter w cenie 20 dolarów. Robi on to samo co kalkulator, ale codziennie rano twój dyrektor generalny musi zaprogramować go na nowo według kursu podanego w gazetach; urządzenie jest też prawdopodobnie niezdolne odpowiedzieć na pytanie (niedotyczące walut) typu „sześć razy sześć?”. Wyrafinowanie polega na tym, że ów aparat za podwójną cenę robi połowę tego, co potrafią zrobić inne.

Są też do dyspozycji różne cudowne terminarze (Master Day Time, Memory Pal, Loose-Leaf Timer itd.). Terminarz cudowny wygląda jak zwyczajny kalendarzyk (tyle że na ogół nie mieści się w kieszeni). Podobnie jak w zwyczajnym kalendarzyku, po trzydziestym września następuje tam pierwszy października. Różnice ujawnia opis. Wyobraźcie sobie – tłumaczą nam cierpliwie – że pierwszego stycznia umówiliście się z kimś na dziesiątą dwudziestego grudnia, to znaczy po upływie prawie dwunastu miesięcy; żaden ludzki umysł nie jest w stanie pamiętać o tak mało znaczącym szczególe przez tyle czasu. Więc co robicie? Pierwszego stycznia otwieracie terminarz na dacie 20 grudnia i piszecie: „godz. 10, pan Smith”. Cudownie! Możecie na cały rok zapomnieć o tym ważnym zobowiązaniu; wystarczy, że o siódmej dwudziestego grudnia, jedząc owsiankę na mleku, otworzycie terminarz i jakby cudem o wszystkim sobie przypomnicie... Ale jeżeli dwudziestego grudnia – powiedzmy – obudzicie się o jedenastej i dopiero w południe zajrzycie do terminarza? Wychodzi się tu z założenia, że skoro wydaliście już 50 dolarów na zakup cudownego terminarza, to macie dość zdrowego rozsądku, aby zawsze wstawać o siódmej.

Tym, którzy chcieliby skrócić poranny pobyt w łazience owego dwudziestego grudnia, polecam Nose Hair Remover lub Rotary Clipper za

jedyne 16 dolarów. Ten przyrząd urzekłby niewątpliwie markiza de Sade. Wsadza się go (z reguły) do nosa; napęd elektryczny nadaje mu ruch obrotowy, dzięki czemu wycina stamtąd włoski pozostające poza zasięgiem nożyc krawieckich, którymi ludzie ubodzy zazwyczaj bezskutecznie usiłują się pozbyć tego szpecącego szczegółu. Nie wiem, czy istnieje także wersja mega przeznaczona dla waszego słonia.

Cool Sound to przenośna lodówka piknikowa z wbudowanym telewizorem. Fish Tie – krawat w kształcie dorsza, ze stuprocentowego poliestru. Coin Changer (aparacik wydający monety) oszczędza wam trudu grzebania po kieszeniach, kiedy chcecie kupić gazetę. Na nieszczęście ma rozmiary relikwiarza z kością udową świętego Albina. Nie wiadomo też, gdzie w razie pilnego zapotrzebowania szukać monet, aby ów przyrząd wypełnić.

Do zaparzenia herbaty – powinna być oczywiście w dobrym gatunku – potrzebne są tylko czajnik, łyżeczka i co najwyżej sitko. Tea Magic za 9 dolarów 95 centów to nadzwyczaj skomplikowana maszyneria, za sprawą której nad filiżanką herbaty musicie napracować się tyle samo, co nad filiżanką kawy.

Cierpię na wątrobę, kwasicę moczową, nieżyt nosa, nieżyt żołądka, kolano praczki, łokieć tenisisty, awitaminozę, bóle w stawach i w mięśniach, koślawy paluch, egzemę alergiczną, może również na trąd. Na szczęście nie jestem hipochondrykiem. Muszę jednak pamiętać, że codziennie o określonej porze mam wziąć określoną tabletkę. Dostałem w prezencie srebrne pudełeczko na tabletki, ale zapominam je rano napełnić. Noszenie ze sobą wszystkich opakowań oznaczałoby ogromny wydatek na skórzane torby, ponadto trudno byłoby wtedy korzystać z hulajnogi. Ratuje nas Tablets Container o rozmiarach nie większych od lancii thema; towarzyszy nam przez cały pracowity dzień i obracając się, wyrzuca z siebie we właściwym momencie właściwą tabletkę. Jeszcze bardziej wyrafinowany jest Electronic Pill Box (19 dolarów 85 centów) dla pacjentów cierpiących na nie więcej niż trzy choroby naraz: pudełko

z trzema przegródkami i wbudowanym komputerem, który sygnalizuje właścicielowi, kiedy należy wziąć tabletkę.

Jeśli macie w domu myszy, doskonały okaże się Trap-Ease. Wkładacie do środka kawałek sera, odstawiacie i możecie sobie iść nawet do opery. W zwykłych pułapkach mysz, wchodząc, coś potrąca, w rezultacie spada ostrze, które ją zabija. Natomiast Trap-Ease ma kształt kąta rozwartego. Jeśli mysz zostanie w przedsionku, nic jej nie grozi (ale nie skonsumuje sera). Jeśli zacznie konsumować, przedmiot obraca się o 94 stopnie i opada kratka. Ponieważ urządzenie kosztuje tylko 8 dolarów i jest przezroczyste, macie do wyboru: obserwować mysz wieczorem, kiedy zepsuje się telewizor, wypuścić ją, żeby biegała sobie po polach (wariant ekologiczny), wyrzucić całość na śmietnik albo – podczas oblężenia – wsadzić zwierzątko prosto do garnka z wrzącą wodą.

Leaf Scoops to rękawica zamieniająca wasze ręce w łapy płetwonoga, mutacji powstałej w efekcie skażenia radioaktywnego, będącej skrzyżowaniem gęsi z pterodaktylem i Doktorem Quatermassem. Służy do zbierania liści w waszym parku o powierzchni 80 tysięcy akrów. Wydając 12 dolarów 50 centów, oszczędzacie na ogrodniku lub gajowym (rada dla lorda Chatterleya). Tie Saver pokrywa wasze krawaty oleistym sprayem; możecie wtedy jeść Chez Maxim zapiekane grzanki z pomidorami, nie obawiając się, że później na zebraniu rady nadzorczej będziecie wyglądać jak doktor Barnard po dokonaniu przeszczepu. Cena 15 dolarów. Przyda się również tym, którzy jeszcze używają brylantyny; będą mogli spokojnie wycierać sobie czoło krawatem.

Co począć, gdy walizka jest tak wypchana, że pęka w szwach? Głupi kupuje drugą walizkę ze skóry kozicy lub dzika, ale przy takim rozwiązaniu ma zajęte obie ręce. Briefcase Expander to w gruncie rzeczy opakowanie, które umocowuje się na waszej jedynej walizce; możecie wtedy wsadzić tam to wszystko, co się w niej nie zmieściło, nawet jeśli dodatkowa warstwa osiągnie wysokość przekraczającą dwa metry. Za 45 dolarów będziecie mogli, wsiadając do samolotu, odnieść wrażenie, że dźwigacie pod pachą muła.

Ankle Vallet (19 dolarów 95 centów) umożliwia schowanie kart kredytowych w sekretnej kieszeni przylegającej do łydki; przydaje się przemytnikom narkotyków. Drive Alert zakładacie za ucho, gdy macie prowadzić samochód; kiedy ogarnia was senność albo – inaczej mówiąc – zapadacie w drzemkę, a głowa w niedopuszczalny sposób pochyla się do przodu, urządzenie dzwoni na alarm. Sądząc po zdjęciu, zamienia uszy użytkownika w coś, co przywodzi na myśl *Star Trek*, Andreottiego lub *Człowieka słonia*. Gdyby noszącą ten aparat osobę ktoś spytał: „Czy mnie poślubisz?”, a ona zbyt energicznie odpowiedziałaby „tak”, groziłaby jej śmierć od porażenia ultradźwiękami.

Na zakończenie wymieńmy: automatyczny dystrybutor pokarmu dla ptaków, kufel na piwo do osobistego użytku z dzwonkiem rowerowym (dzwoni się, aby dostać kolejną porcję), saunę na samą twarz, dystrybutor coca-coli w kształcie pompy benzynowej oraz Bicycle Seat – podwójne siodełko rowerowe, po jednym na każdy pośladek. Dobre dla cierpiących na prostatę. Reklamowane jest zapewnieniem *split-end design (no pun intended)*. To tak, jakby powiedzieć: „Rozszczepia wam tyłek (żadnej w tym złośliwości)”.

Zanim przesiądziemy się z samolotu do samolotu, jest czas na przejrzenie prasy w kioskach i można wiele się nauczyć. Kilka dni temu odkryłem, że istnieją różne czasopisma przeznaczone dla poszukiwaczy skarbów. Kupiłem wydawane w Paryżu „Trésors de l’Histoire”. Są tam artykuły o możliwościach natrafienia na cenne znaleziska w rozmaitych miejscach we Francji, dokładne wskazówki geograficzne i topograficzne, wiadomości o skarbach, które w tych okolicach już odszukano.

Nabyty przeze mnie numer zawiera wskazówki dotyczące skarbów, które znaleźć można na dnie Sekwany. Są to starożytne monety, przedmioty rzucane do rzeki od stuleci, miecze, wazy, statki, kompromitujące złodziei łupy, nie wyłączając dzieł sztuki. I dalej skarby zakopane w Bretanii w średniowieczu przez apokaliptyczną sektę Eona de l’Estoile; skarby z magicznego lasu Brocelandie, z czasów Merlina i cyklu opowieści o Graalu, ze szczegółowymi informacjami, dzięki którym – jeśli wam się

poszczęści – zidentyfikujecie sam święty Graal we własnej osobie; skarby zakopane w Normandii przez Wandejczyków podczas rewolucji francuskiej; skarb Oliviera Diabła, golibrody Ludwika XI; skarby, o których niby to żartem wspomina się w powieściach o Arsenie Lupinie, lecz które rzeczywiście istnieją. I wreszcie *Guide de la France trésoraire*, tylko opisany w artykule, ponieważ całość w cenie 26 franków zawiera 74 mapy w skali jeden do stu, każdy może sobie wybrać tę, która odnosi się do jego regionu.

Czytelnik zada sobie może pytanie, jak szukać skarbu pod ziemią albo pod wodą. Żaden problem: w czasopiśmie są artykuły i reklamy dotyczące licznych urządzeń niezbędnych poszukiwaczom. A więc różnego rodzaju detektory przeznaczone do wykrywania złota, metali lub innych cennych substancji; do poszukiwań pod wodą kombinezony, maski, aparaty wyposażone w czujniki reagujące tylko na biżuterię, płetwy. Niektóre z tych przyrządów kosztują po kilkaset tysięcy lirów, inne ponad milion i więcej. Oferuje się nawet karty kredytowe, za pomocą których po wydaniu dwóch milionów można kupować dalej, korzystając z bonu o wartości stu tysięcy lirów (nie wiadomo po co ta zniżka, gdyż do tego czasu nabywca powinien był już znaleźć przynajmniej kufer pełen hiszpańskich dublonów).

Za osiemset tysięcy lirów możecie na przykład nabyć M-Scan, aparat zajmujący wprawdzie dużo miejsca, ale umożliwiający wykrywanie monet miedzianych na głębokości dwudziestu dwóch centymetrów, skrzyń na głębokości dwóch metrów i metalowej masy w podziemnej celi znajdującej się na głębokości około trzech metrów pod waszymi stopami. Są też instrukcje wyjaśniające, jak należy ukierunkować różne typy detektorów, oraz inne, z których wynika, że deszcze ułatwiają szukanie przedmiotów dużych, a susza – małych. Beachcomber 60 to specjalistyczny sprzęt dla poszukiwaczy działających na plażach i terenach bogatych w minerały (pojmujecie od razu, że jeśli obok złoża diamentów leży w ziemi miedziana moneta, to aparat może zacząć kaprysić i jej nie wykryje). Obok zawiadomienie, że 90 procent zasobów złota na świecie trzeba jeszcze odnaleźć, a nadzwyczaj poręczny detektor Goldspear (cena półtora miliona)

został skonstruowany specjalnie do wykrywania złotonośnych żył. Tani jest detektor kieszonkowy (Metal Locator) do poszukiwań w kominkach i starych meblach. Pojemnik AF2 w cenie poniżej trzydziestu tysięcy lirów umożliwia czyszczenie i odtlenianie znalezionych monet. Dla mniej zamożnych są różne wahadełka różdżkarskie. A dla tych, którzy pragną dowiedzieć się więcej, jest cała lista książek o kuszących tytułach: *Tajemnicze dzieje francuskich skarbów, Przewodnik po zakopanych skarbach, Przewodnik po zaginionych skarbach, Francja – ziemia obiecana, Francuskie podziemia, Polowanie na skarby w Belgii i Szwajcarii* i tak dalej.

Zapytacie może, dlaczego – skoro istnieje tyle wszelakiego dobra – wydawcy tracą cenny czas na redagowanie owego czasopisma, zamiast wyruszyć bezzwłocznie w lasy Bretanii. Otóż czasopismo, książki, detektory, płetwy, płyny do odtleniania i całą resztę sprzedaje ta sama firma, właścicielka wszechobecnej sieci sklepów. To wyjaśnia tajemnicę: oni skarb już znaleźli.

Należałoby jeszcze wytłumaczyć, kim są ci, dzięki którym tamci się bogacą. Najprawdopodobniej to te same osoby, które we Włoszech usiłują korzystać z fantastycznych okazji na telewizyjnych licytacjach i ze wspaniałomyślności producentów mebli. Francuzi mają z tego przynajmniej sprzyjające zdrowiu przechadzki po lasach.

1986

Jak zostać kawalerem maltańskim

Dostałem list z nagłówkiem: *Ordre Souverain Militaire de Saint-Jean de Jérusalem – Chevaliers de Malte – Prieuré Oecuménique de la Sainte-Trinité-de-Villedieu – Quartier Général de la Vallette – Prieuré de Québec*. Proponuje mi się w nim, abym został kawalerem maltańskim. Wolałbym otrzymać pismo od Karola Wielkiego, ale niezwłocznie poinformowałem o wszystkim dzieci, żeby nie myślały, że ich ojciec jest byle kim. Potem odszukałem na półkach domowej biblioteki dzieło Caffanjona i Galimarda Flavigny'ego *Ordres et contre-ordres de chevalerie*, Paris 1982, w którym figuruje lista rzekomych zakonów maltańskich, rozpowszechniana przez prawdziwy Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana Jerozolimskiego z Rodos i Malty, z siedzibą w Rzymie.

Jest owych zakonów szesnaście, wszystkie mają tę samą nazwę z minimalnymi odchyleniami, wszystkie uznają się lub nie uznają wzajemnie. W 1908 roku Rosjanie zakładają w Stanach Zjednoczonych zakon, którym w bliższych nam czasach kieruje Jego Królewska Wysokość książę Roberto Paternò II Ayerbe Aragona, diuk Perpignan, głowa domu królewskiego Aragonii, pretendent do tronu Aragonii i Balearów, wielki mistrz Zakonu Łańcucha Świętej Agaty Paternò i Zakonu Korony Królewskiej Balearów. Od tego pnia oddziela się jednak w 1934 roku pewien Duńczyk, który zakłada inny zakon, powierzając urząd kanclerza Piotrowi, księciu Grecji i Danii.

W latach sześćdziesiątych porzuca pień rosyjski Paul de Granier de Cassagnac, powołuje zakon we Francji i wybiera na jego protektora byłego króla Jugosławii, Piotra II. W 1965 roku były król Jugosławii kłóci się z Cassagnakiem i zakłada w Nowym Jorku inny zakon, którego wielkim mistrzem zostaje w 1970 roku Piotr, książę Danii i Grecji, ten jednak wkrótce składa rezygnację i przechodzi do zakonu duńskiego. W 1966 roku

kanclerzem zakonu jest niejaki Robert Bassaraba von Brancovan Khimchiacvili, ale zostaje usunięty i zakłada Zakon Ekumenicznych Rycerzy Maltańskich, którego cesarsko-królewskim protektorem będzie książę Henryk III Konstantyn Vigo Lascaris Aleramico Paleolog z Monferrato, dziedzic tronu Bizancjum i książę Tesalii. Powoła on później inny zakon maltański, Prowincję Stanów Zjednoczonych, Bassaraba zaś w 1975 roku usiłuje bezskutecznie połączyć swój zakon z Prowincją Trójcy Świętej z Villedieu (to ten mój). Znajduję dalej Protektorat Bizantyjski, zakon utworzony przez księcia Rumunii, Karola, po rozstaniu z Cassagnakiem, oraz Wielką Prowincję, której wielkim baliwem jest niejaki Tonna-Barthet; książę Jugosławii, Andrzej – były wielki mistrz zakonu założonego przez Piotra II – zostaje wielkim mistrzem Prowincji Rosyjskiej (później książę się wycofuje, a zakon zmienia nazwę na Wielka Królewska Prowincja Malty i Europy); istnieje też zakon powołany w latach siedemdziesiątych przez jakiegoś barona de Choibert i przez Vittoria Busę, prawosławnego arcybiskupa metropolitalnego Białegostoku, patriarchę diaspory zachodniej i wschodniej, prezydenta Republiki Gdańskiej (sic!) i Demokratycznej Republiki Białoruskiej oraz – jako Wiktor Timur II – wielkiego chana Tatarii i Mongolii. Jest ponadto Wielka Prowincja Międzynarodowa ustanowiona w 1971 roku przez wymienionego już Jego Królewską Wysokość Roberta Paternò i barona markiza Alaro, której wielkim protektorem zostaje w 1982 roku inny Paternò – głowa Domu Cesarskiego, Leopardi Tomassini Paternò z Konstantynopola, dziedzic tronu Cesarstwa Wschodniorzymskiego, wyświęcony na prawowitego następcę przez Ortodoksyjny Katolicki Kościół Apostolski obrządku bizantyjskiego, markiz Monteaperto, palatyn tronu Polski.

W 1971 roku po rozłamie w zakonie Bassaraby pojawia się na Malcie mój zakon pod wysokim protektoratem Aleksandra Licastra Grimaldiego Lascarisa Comnena Ventimiglii, diuka La Chastre, udzielnego księcia i markiza Déols. Wielkim mistrzem jest tam obecnie markiz Karol Stivala de Flavigny, który po śmierci Lascarisa dokooptował Pierre’a Pasleau. Ten ostatni przybrał tytuły Lascarisa, ponadto przysługują mu następujące: Jego Wysokość Arcybiskup Patriarcha Ortodoksyjnego Kościoła Katolickiego

Belgii, wielki mistrz Suwerennego Zakonu Wojskowego Świątyni Jerozolimskiej, wielki mistrz i hierofant masońskiego zakonu powszechnego obrządku wschodniego i pierwotnego Memphis-Misraim.

Odłożyłem tom na półkę. Może on także zawiera fałszywe dane. Zrozumiałem jednak, że do czegoś trzeba należeć, aby nie czuć się piątym kołem u wozu. Lożę P2 rozwiązano, Opus Dei przez brak dyskrecji jest na ustach wszystkich. Wybrałem Włoskie Towarzystwo Fletu Prostego. Jedyne, Prawdziwe, Starodawne i Akceptowane.

1986

Jak jeść w samolocie

Podróżując samolotem kilka lat temu (do Amsterdamu, tam i z powrotem), zniszczyłem sobie dwa krawaty Brooks Brothers, dwie koszule Burberry, dwie pary spodni Bardelli, tweedową marynarkę nabytą na Bond Street oraz kamizelkę Krizia.

Podczas lotów międzynarodowych przestrzegany jest dobry obyczaj polegający na podawaniu posiłku. Wiadomo jednak, że fotel jest wąski, stolik także, a samolot niekiedy podskakuje. Ponadto serwetki są w samolotach malutkie, wetknięte za kołnierz nie przykrywają brzucha, a położone na kolanach – piersi. Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem należałoby więc podawać pokarm nieplamiący i zbity. Nie muszą to być tabletki Enervit. Pokarmem zbitym są panierowane kotlety, mięso z grilla, ser, frytki i pieczone kurczę. Pokarmem plamiącym – spaghetti z pomidorami, bakłażany po parmeńsku, pizza dopiero co wyjęta z pieca i wrzący rosół w naczyniu bez uszek.

Otóż typowe menu samolotowe składa się z mocno wygotowanego mięsa w zawiesistym brunatnym płynie, wielkich porcji pomidorów, drobno posiekanych i wymoczonych w winie jarzyn, ryżu i groszku z sosem. Wszyscy dobrze wiedzą, że ziarna groszku to przedmioty nieuchwytne – nawet najdoskonalsi kucharze nie umieją przyrządzać groszku faszerowanego – zwłaszcza jeżeli chcemy być w zgodzie z etykietą i upieramy się jeść je widelcem, a nie łyżką. I nie mówcie mi, że jeszcze gorzej mają Chińczycy, bo zapewniam, że łatwiej jest uchwycić groszek pałeczkami niż nadziać go na widelec. Zbędna jest też obiekcja, że groszku nie nadziewa się na widelec, tylko się go nabiera, ponieważ widelce zaprojektowano tak, aby groszek, który powinny nabierać, od razu z nich spadał.

Dodajmy, że w samolocie groszek podaje się z reguły podczas turbulencji, kiedy kapitan zleca zapięcie pasów. W konsekwencji tej skomplikowanej operacji ergonomicznej ziarna groszku mają tylko dwojaki wybór: wcisnąć się albo pod kołnierzyk, albo do rozporka.

Starożytni bajkopisarze pouczają nas, że aby lis nie mógł napić się ze szklanki, musi ona być wysoka i wąska. W samolotach szklanki są niskie, szersze u góry, w praktyce przypominają miseczki. Rzecz jasna, że nawet bez turbulencji, po prostu wskutek działania praw fizyki, każdy płyn się z nich wylewa. Chleb to nie francuska bagietka, którą trzeba ciągnąć zębami nawet wtedy, gdy jest jeszcze świeża; upieczony jest ze szczególnego rodzaju mąki – zaledwie się go ugryzie, wystrzela obłok drobniutkiego pyłu. Zgodnie z prawem Lavoisiera ów pył znika tylko pozornie. Po wylądowaniu pasażer stwierdza, że zebrał się w całości pod jego tyłkiem i zdołał oblepić spodnie także od dołu. Ciastko jest albo zbliżone do bezy i oblepia nie mniej niż chleb, albo rozpływa się natychmiast w palcach, kiedy nasiąknięta już sosem pomidorowym serwetka nie nadaje się do użytku.

Pozostaje wprawdzie chusteczka odświeżająca, nie można jednak jej odróżnić od saszetek z solą, pieprzem i cukrem. W rezultacie, kiedy już posypiemy cukrem sałatę, chusteczka odświeżająca trafia do kawy, którą podają wam wrzącą w pełnej po brzegi filiżance z tworzywa przewodzącego ciepło; łatwo więc wymyka się ona z poparzonych rąk i kawa miesza się z sosem, który zdążył już zakrzepnąć na waszych spodniach. W business class kawę wylewa wam bezpośrednio na kolana hostessa, a potem przeprasza w języku esperanto.

Pracująca dla linii lotniczych firma cateringowa należy z pewnością do tych ekspertów hotelarstwa, którzy przyjęli jeden typ dzbanka do kawy: zamiast wlewać kawę do filiżanki, osiemdziesiąt procent swojej zawartości rozlewa on na prześcieradło. Ale dlaczego? Najbardziej oczywista hipoteza jest następująca. Chodzi o to, aby wzbudzić w podróżnych poczucie luksusu; zakłada się, że pamiętają oni hollywoodzkie filmy, w których Neron pije zawsze z bardzo szerokich czar, plamiąc sobie brodę i chlamidę,

a obejmujący kurtyzany feudalni panowie obgryzają udźce, z których sos kapie na ich koronkowe koszule.

Dlaczego jednak w pierwszej klasie, gdzie miejsca jest dużo, podaje się pokarmy zbite – gęsty rosyjski kawior na grzankach z masłem, wędzonego łososia i porcje langusty z oliwą i cytryną? Może dlatego, że w filmach Luchina Viscontiego nazistowscy arystokraci mówią „rozstrzelać go”, wkładając do ust winogrono.

1987

Jak mówić o zwierzętach

Jeżeli nie zależy wam zbytnio na wiadomościach bieżących, posłuchajcie historii, która zdarzyła się w Nowym Jorku jakiś czas temu.

Central Park, ogród zoologiczny. Kilku chłopców bawi się obok basenu dla białych niedźwiedzi. Jeden chłopak prowokuje innych: wchodzimy do wody, popływamy z niedźwiedziami. Chowa kolegom ubrania, żeby ich do tego zmusić. Chłopcy skaczą, chlapią się obok wielkiego, spokojnego i sennego zwierzęcia, dokuczają mu. Niedźwiedź wpada w złość, wyciąga łapę i pożera lub raczej rozszarpuje dwoje dzieci, po których pozostają tylko szczątki. Nadbiegają policjanci, przyjeżdża sam burmistrz. Dochodzi do dyskusji, czy należy niedźwiedzia zabić; uznaje się jednak, że nie była to jego wina, a prasa zamieszcza kilka sensacyjnych artykułów. Zbiegiem okoliczności chłopcy mieli hiszpańskie nazwiska; więc może Portorykańczycy, może sprowadzili się niedawno, w każdym razie gotowi do zuchwałych wyczynów jak cała młodzież, która łączy się w paczki w dzielnicach biedoty.

Pojawiają się różne interpretacje, wszystkie raczej w ostrym tonie. Dość rozpowszechniona była reakcja cyniczna, wyrażana ustnie: dobór naturalny – jeśli byli tak głupi, żeby pływać obok niedźwiedzia, zasłużyli sobie na to, ja nawet jako pięcioletnie dziecko nie skoczyłbym do tego basenu. Interpretacja społeczna: rezerwaty nędzy, brak wykształcenia – lumpenproletariatem jest się, niestety, także pod względem nieostrożności, nierozwagi. Pytam jednak: co za brak wykształcenia? Przecież najbiedniejsze dziecko ogląda telewizję i czyta podręczniki szkolne, a tam myśliwi zabijają niedźwiedzie, które pożerają ludzi.

W tym miejscu zacząłem się zastanawiać, czy dzieci nie weszły do basenu właśnie dlatego, że oglądają telewizję i chodzą do szkoły. Padły

prawdopodobnie ofiarą naszego nieczystego sumienia, którego wyrazem są szkoła i środki masowego przekazu.

Ludzie zawsze traktowali zwierzęta bezlitośnie. Kiedy uświadomili sobie swoją podłość, zaczęli nie tyle wszystkie je kochać (przecież bez żadnych skrupułów nadal je spożywają), ile przynajmniej dobrze o nich mówić. Biorąc pod uwagę, że media, szkoła i instytucje publiczne często działają na szkodę ludzi i muszą zabiegać, aby im to wybaczono, podkreślanie dobroci zwierząt staje się w gruncie rzeczy korzystne pod względem psychologicznym i etycznym. Pozwala się umierać dzieciom z Trzeciego Świata, ale dzieciom z Pierwszego zaleca się szanować nie tylko ważki i króliczki, lecz także wieloryby, krokodyle i węże.

Proszę zauważyć, że podobna akcja wychowawcza jest sama w sobie słuszna. Przesadna jest zastosowana technika perswazji. Aby umożliwić zwierzętom przeżycie, uczłowiecza się je i przyrównuje do dzieci. Nie mówi się, że mają prawo żyć nawet wtedy, gdy zgodnie ze swoim obyczajem są dzikie i mięsożerne; przedstawia się je jako godne szacunku, bo przyjemne, zabawne, poczciwe, dobroczynne, mądre i ostrożne.

Nie istnieje stworzenie bardziej niemądre od leminga, bardziej leniwe od kota, bardziej zaślinione od psa w sierpniu, bardziej śmierdzące od prosiaka, bardziej histeryczne od konia, bardziej kretyńskie od ćmy, bardziej oślizgłe od ślimaka, bardziej jadowite od żmii, mające mniej fantazji od mrówki i muzycznie mniej twórcze od słowika. Trzeba po prostu te i inne zwierzęta kochać takie, jakie są, albo – jeżeli naprawdę nie możemy – przynajmniej je szanować. Dawne baśnie w przesadnie złym świetle ukazywały wilka, baśnie dzisiejsze ukazują go w świetle przesadnie dobrym. Wieloryby należy ratować nie ze względu na ich dobroć, ale dlatego, że są częścią naturalnego środowiska i przyczyniają się do zachowania równowagi ekologicznej. A nasze dzieci uczą się o mówiących wielorybach, o wilkach wstępujących do trzeciego zakonu franciszkańskiego, przede wszystkim zaś bez końca o pluszowych misiach.

Reklamy, filmy rysunkowe, książki ilustrowane są pełne niedźwiedzi niezwykle dobrych, szanujących prawo, opiekuńczych pieszczochów.

Niedźwiedź obraziłby się, gdyby mu powiedziano, że – jak mawiają w moich stronach – jest wielki i gruby, głupi i niezdarny. Podejrzewam więc, że biedne dzieci z Central Parku straciły życie nie z braku wykształcenia, lecz z jego nadmiaru. To ofiary naszego nieszczęsnego sumienia.

Żeby zapomniały, jak bardzo niedobrzy są ludzie, tłumaczono im zbyt usilnie, że dobre są niedźwiedzie. Zamiast wyjaśnić im uczciwie, czym są ludzie, a czym niedźwiedzie.

1987

Jak pisać wstęp

Niniejszy felieton ma na celu wyjaśnić, jak należy zredagować – zgodnie z ugruntowanymi już zasadami etykiety akademickiej – wstęp do tomu esejów, traktatu filozoficznego czy zbioru prac naukowych, publikowanego w miarę możności przez wydawnictwo uczelniane lub w serii na poziomie uniwersyteckim.

Wyłożę zatem poniżej w formie syntetycznej, dlaczego pisze się wstęp, co powinien on zawierać i jak sformułować podziękowania. Ta ostatnia umiejętność charakteryzuje uczonego wysokiej klasy. Może się zdarzyć, że autor, kończąc swoje dzieło, odkrywa, iż nie musi nikomu dziękować. Nie szkodzi, długi wdzięczności powinien sobie wymyślić. Praca naukowa wykonana bez tychże długów budzi podejrzenia, trzeba zawsze w jakiś sposób komuś podziękować.

Pisząc ten felieton, korzystałem z cennych doświadczeń nabytych w ciągu wieloletnich kontaktów z publicystyką naukową, którą przybliżyło mi Ministerstwo Szkolnictwa Republiki Włoskiej, uniwersytety w Turynie i Florencji, Politechnika Mediolańska, Uniwersytet Boloński, New York University, Yale University i Columbia University.

Nie skończyłbym nigdy tego felietonu, gdyby nie bezcenna współpraca pani Sabiny, której zawdzięczam to, że mój gabinet, o drugiej w nocy jedno zbiorowisko niedopałków i makulatury, rano wygląda całkiem znośnie. Dziękuję w szczególności Barbarze, Simonie i Gabrielli, które ciężko się trudziły, aby rozmyślań nie zakłócały mi telefony zza oceanu z zaproszeniami na zjazdy dotyczące najprzeróżniejszych i jak najbardziej od moich zainteresowań odległych tematów.

Nie napisałbym niniejszego felietonu bez nieustannej pomocy mojej żony, która zawsze umiała i umie znosić humory i wyskoki naukowca dręczonego bez przerwy najistotniejszymi zagadnieniami istnienia,

udzielając pocieszających rad, które uzmysławiają mu nicość wszystkiego. Wytrwałość, z jaką podawała mi sok jabłkowy, zapewniając, że jest on wyborną słodową whisky ze Szkocji, ponad wszelką miarę i ponad wszelką dającą się udokumentować wiarę przyczyniła się do tego, że w niniejszym felietonie są jeszcze ślady jasności umysłu.

Bardzo pomocne okazały się moje dzieci, których uczucia, energia i zaufanie umożliwiły mi wykonanie zadania. Ich całkowitej, olimpijskiej obojętności wobec mojej pracy zawdzięczam siłę, która pozwoliła mi ukończyć ten felieton w codziennej walce o zdefiniowanie roli człowieka kultury w postmodernistycznym społeczeństwie. Zawdzięczam im dodającą mi nieustannie otuchy niezłomną wolę zamknięcia się u siebie, aby pisać te strony i nie spotykać w przedpokoju ich najlepszych przyjaciół, których fryzjer hołduje kryteriom estetycznym nienawistnym mojej wrażliwości.

Ogłoszenie drukiem niniejszego tekstu stało się możliwe dzięki wielkoduszności i wsparciu finansowemu Carla Caracciola, Lia Rubiniego, Eugenia Scalfariego, Livia Zanettiego, Marca Benedetta oraz innych członków rady nadzorczej wydawnictwa L’Espresso S.A. Dziękuję w szczególności dyrektor administracyjnej Milvii Fiorani, której nieprzerwana, comiesięczna pomoc pozwoliła mi kontynuować badania. To, że mój skromny przyczynek trafi może do wielu czytelników, zawdzięczam Guidowi Ferrantellemu, kierownikowi działu dystrybucji.

Napisanie felietonu ułatwiła mi firma Inżynier Camillo Olivetti i Wspólnicy S.A., zaopatrując mnie w komputer M21. Szczególne podziękowania dla MicroPro i programu Wordstar 2000. Tekst został wydrukowany na Okidata Microline 182.

Nie byłbym w stanie napisać powyższych i poniższych linijek bez serdecznego nalegania i słów zachęty ze strony doktora Giovanniego Valentiniego, doktora Enza Golina i doktora Ferdinanda Adornata, którzy pokrzepiali mnie po przyjacielsku codziennymi pilnymi telefonami, przypominając, że „L’Espresso” idzie już do druku i że muszę bezwzględnie znaleźć temat niniejszego felietonu.

Oczywiście wszystko, co figuruje na tej stronie, nie angażuje w żadnej mierze ich naukowego autorytetu; wszelkimi możliwymi wadami dzisiejszego felietonu, jak również podobnych felietonów z przeszłości i przyszłości, należy obciążyć wyłącznie konto moich własnych przewin.

1987

Jak być prezenterem telewizyjnym

Doznałem niezwykłego przeżycia: Akademia Nauk Wysp Svalbard zaprosiła mnie na kilkuletni pobyt wśród Bongów, których cywilizacja kwitnie między Ziemią Nieznaną a Wyspami Szczęśliwymi.

Bongowie robią prawie wszystko to, co robimy my, lecz przejawiają dziwną skłonność do uzupełniania informacji. Nie jest im znana sztuka domniemań i niedomówień.

My na przykład zaczynamy mówić i używamy oczywiście słów, ale nie potrzebujemy tego sobie komunikować. Natomiast Bong, zwracając się do innego Bonga, zaczyna tak: „Uważaj, teraz mówię i używam słów”. My budujemy dom, a potem (z wyjątkiem Japończyków) podajemy naszym gościom jego numer, nazwiska lokatorów, klatkę schodową A i klatkę schodową B. Bongowie na każdym domu piszą przede wszystkim „dom”, następnie opatrują kartkami z odpowiednim napisem cegły, dzwonek, przy drzwiach piszą „drzwi”. Kiedy dzwonicie do drzwi mieszkania pana Bonga, on otwiera ze słowami: „Teraz otwieram drzwi”, potem się przedstawia. Kiedy zaprasza was na kolację, prosi, żebyście usiedli, i mówi: „Oto stół, a oto krzesła!”. Następnie tryumfalnym tonem oznajmia: „A oto pokojówka! Przyszła Rosina. Zapyta was, czego sobie życzycie, i postawi na stole wasze ulubione danie”. To samo dzieje się w restauracjach.

Osobliwie zachowują się Bongowie w teatrze. W sali gaśnie światło, pojawia się aktor i mówi: „Oto kurtyna”. Kurtyna idzie w górę, wychodzą na scenę inni aktorzy, aby zagrać – powiedzmy – w *Hamlecie* albo w *Chorym z urojenia*. Jednak każdego aktora przedstawia się publiczności najpierw jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem, a potem imieniem postaci, którą gra. Kiedy aktor kończy swoją kwestię, oznajmia: „A teraz przerwa!”. Upływa kilka sekund i zaczyna mówić inny aktor. Zbyteczne

dodawać, że po zakończeniu pierwszego aktu wychodzi przed rampę aktor i obwieszcza: „Teraz nastąpi antrakt”.

Uderzyło mnie, że ich widowiska estradowe składają się, podobnie jak nasze, z krótkich scen mówionych, piosenek, duetów i baletów. Ja jednak byłem przyzwyczajony, że u nas dwóch komików odgrywa swoją scenkę, później jeden śpiewa piosenkę, potem obaj znikają, na estradę zaś wbiegają pełne gracji dziewczęta i tańczą, aby widz mógł nieco odetchnąć, a po występie baletu znowu pojawiają się aktorzy. Natomiast u Bongów najpierw dwaj aktorzy zapowiadają, że kolej na scenkę komiczną, potem mówią, że wystąpią w duecie, precyzując, że będzie on żartobliwy, aż wreszcie ostatni z pozostałych na scenie oznajmia: „A teraz balet!”. Najbardziej zdziwiło mnie to, że podczas antraktu pokazywały się na kurtynie napisy reklamowe, jak bywa i u nas, jednakże po obwieszczeniu antraktu aktor mówił zawsze: „A teraz reklamy!”.

Zastanawiałem się długo, skąd bierze się u Bongów owa obsesyjna potrzeba precyzowania. Być może – mówiłem sobie – są trochę tępi i jeśli ktoś im nie powie „teraz cię witam”, nie zrozumieją, że są witani. Po części musiało być i tak. Był jednak także inny powód. Bongowie żyją w kulcie widowiska i dlatego muszą w widowisko zamieniać wszystko – nawet niedomówienia. W czasie pobytu wśród Bongów miałem sposobność zrekonstruować historię oklasków. W starożytności Bongowie klaskali z dwóch przyczyn: albo z zadowolenia, że spektakl jest piękny, albo dlatego, że chcieli uhonorować wielce zasłużoną osobistość. Z natężenia oklasków wnioskowano, kogo najbardziej szanuje się i kocha. Również dawno temu przebiegli przedsiębiorcy teatralni, żeby przekonać widzów, że spektakl jest udany, rozmieszczali wśród publiczności płatnych klakierów, którzy mieli klaskać nawet wtedy, kiedy nie było po temu żadnego uzasadnienia. Wraz z nastaniem telewizji Bongowie sprowadzali na salę krewnych organizatorów i sygnałem świetlnym (niewidocznym dla telewidzów) dawali im znać, kiedy mają klaskać. Telewidzowie szybko odkryli tę sztuczkę; u nas oklaski zostałyby całkowicie zdyskredytowane. U Bongów nie. Także publiczność w domach zapragnęła bić brawo i całe

tłumy Bongów zgłaszały się dobrowolnie do telewizyjnych audytoriów, gotowe płacić za możliwość klaskania. Niektórzy zapisywali się nawet na specjalne kursy. Ponieważ zaś wszyscy wszystko już wiedzieli, po prostu sam prezenter we właściwych momentach donośnie oznajmiał: „A teraz głośne oklaski”. Widzowie na sali zaczęli jednak szybko bić brawo także bez zachęty ze strony prezentera. Wystarczyło, że zapytał on jednego z obecnych o zawód, a ten odpowiedział: „Obsługuję komorę gazową u miejskiego hycla”, i już wybuchały burzliwe oklaski. Czasami – u nas bywało tak ze scenkami Petroliniego[9] – prezenter nie zdążył nawet powiedzieć „dobry wieczór”, bo już po „dobry” następowały owacje. Prezenter mówił: „Jesteśmy tu jak w każdy czwartek”, a publiczność nie tylko biła brawo, ale też śmiała się do rozpuku.

Oklaski stały się tak niezbędne, że nawet w programach reklamowych, kiedy zachwalający towar mówił: „Kupujcie środek Pip, odchudzi was”, słychać było salwy braw. Telewidzowie wiedzieli dokładnie, że na sali oprócz zachwalającego nie ma nikogo, ale potrzebowali oklasków, bo inaczej program wydałby im się sztuczny i poszukaliby innej stacji. Bongowie chcą, aby telewizja pokazywała im prawdziwe życie, życie takie, jakie jest, bez żadnego udawania. Klaszcze publiczność (która jest taka jak my), nie aktor (który udaje), oklaski stanowią więc jedyną gwarancję, że telewizja jest oknem otwartym na świat. Przygotowywany jest właśnie program z udziałem aktorów, którzy wyłącznie klaszczą; będzie nosił tytuł *Teleprawda*. Aby czuć się ściśle związanymi z życiem, Bongowie klaszczą teraz ustawicznie, niepotrzebna im do tego telewizja. Biją brawo na pogrzebach nie dlatego, że są zadowoleni albo że pragną przypodobać się zmarłemu, lecz dlatego, żeby nie czuć się jak cienie wśród cieni, żeby czuć się żywymi i rzeczywistymi jak obrazy oglądane na ekranie telewizora. Pewnego dnia byłem u znajomych, wszedł ktoś i powiedział: „Babcię dopiero co zmiażdżył tir!”. Wszyscy wstali i zaczęli klaskać.

Nie mogę twierdzić, że Bongowie stoją na niższym poziomie niż my. Od jednego z nich usłyszałem nawet, że zamierzają podbić świat. O tym, że nie chodzi o projekt całkiem nierealny, przekonałem się po powrocie do

ojczyzny. Wieczorem włączyłem telewizor i ujrzałem prezentera, który przedstawiał towarzyszące mu panienki, potem oznajmiał, że wygłosi komiczny monolog, a wreszcie powiedział: „A teraz balet”. Dystyngowany pan, który dyskutował o problemach politycznych najwyższej wagi z innym dystyngowanym panem, przerwał w pewnej chwili i oświadczył: „A teraz przerwa na reklamy”. Kilku konferansjerów przedstawiało nawet publiczność, inni – skierowaną na siebie telekamerę. Wszyscy bili brawo.

Wzburzony wyszedłem z domu i udałem się do restauracji słynącej ze swojej *nouvelle cuisine*. Zjawił się kelner i przyniósł mi trzy listki sałaty. Powiedział: „To surówka z sałaty lombardzkiej posypana drobniutko posiekaną rukolą z Lomelliny, doprawiona morską solą, marynowana w naszym aromatycznym occie i pokropiona umbryjską oliwą z pierwszego tłoczenia”.

1987

Jak posługiwać się przeklętym dzbanuszkiem

Istnieją różne sposoby parzenia dobrej kawy: po neapolitańsku, espresso, po turecku, brazylijski *cafezinho*, francuski *café filtre*, po amerykańsku. Każda kawa jest w swoim rodzaju doskonała. Kawa amerykańska może być wrzącym świństwem w przypominającym termos plastikowym kubku, który wciskają wam na dworcach w celu ludobójstwa, ale także kawą z perkolatora, podawaną w niektórych domach prywatnych albo w skromnych *luncheonettes* do jajek z bekonem: ta jest wyborna, wonna, pije się ją jak wodę, a potem serce wam kołacze, bo filiżanka zawiera więcej kofeiny niż cztery espresso.

Istnieje też kawa pomyje. Wyrabia się ją zazwyczaj ze zgniłego jęczmienia, kości nieboszczyka i ziaren prawdziwej kawy wygrzebanych na śmietniku poradni chorób wenerycznych. Rozpoznać ją można po charakterystycznym zapachu nóg wymoczonych w wodzie, w której zmywano naczynia. Podawana jest w więzieniach, zakładach poprawczych, wagonach sypialnych i luksusowych hotelach. Wprowadziwszy się do Plaza Majestic, do Maria Jolanda & Brabante, do Des Alpes et des Bains, możecie oczywiście zamówić espresso, ale kiedy przyniosą je do waszego pokoju, będzie już w praktyce pokryte warstwą lodu. Aby tej niedogodności uniknąć, zamawiacie continental breakfast i cieszy was myśl, że będziecie mogli rozkoszować się śniadaniem podanym do łóżka.

Continental breakfast składa się z dwóch małych bułek, rogalika, homeopatycznej dawki soku pomarańczowego, odrobiny masła, słoiczków marmolady z czarnych jagód, miodu i marmolady morelowej, naczynka z zimnym już mlekiem, rachunku na sto tysięcy lirów oraz przeklętego dzbanuszka z kawą pomyjami. Dzbanuszki używane przez ludzi normalnych – albo stare dobre maszynki do kawy, z których aromatyczny napój wlewa się bezpośrednio do filiżanki – umożliwiają spływanie kawy

przez wąską dyszę lub dziobek, od góry zaś są zaopatrzone w dowolne urządzenie zabezpieczające, które zamyka dopływ. Pomyje w Grand Hotelu albo w wagonie sypialnym przynoszą wam w dzbanuszku z dziobkiem mocno rozszerzonym, jak u zniekształconego pelikana, i z niezmiernie ruchomą pokrywką, pomyślaną tak, że pod wpływem niepowstrzymanego *horror vacui* obsuwa się automatycznie w dół, zaledwie naczynie przechylamy. W wyniku obu tych pomysłów z przeklętego dzbanuszka wylewa się od razu połowa kawy na rogaliki i na marmoladę, a następnie – po opadnięciu pokrywki – cała reszta, już na pościel. W wagonach sypialnych dzbanuszki mogą być tandetne, bo sam ruch pociągu sprzyja rozlewaniu się kawy; w hotelach muszą być z porcelany, pokrywka obsuwa się wtedy miękko, wolniej, ale nieodwracalnie.

Na temat pochodzenia przeklętego dzbanuszka i przyczyn jego stosowania spierają się dwie szkoły myślenia. Zdaniem szkoły fryburskiej ten wynalazek pozwala dyrekcji hotelu dowieść, że pościel, którą zobaczycie wieczorem, jest świeża. Natomiast według szkoły bratysławskiej przyczyna ma charakter moralizatorski (por. Max Weber, *Etyka protestancka a duch kapitalizmu*): przeklęty dzbanuszek uniemożliwia wylegiwanie się w łóżku, ponieważ nader niewygodnie jeść nasiąkniętą kawą bułkę, kiedy jest się owiniętym w zalaną kawą pościel.

Przeklętych dzbanuszków nie ma w sprzedaży. Wyrabiane są wyłącznie na potrzeby sieci wielkich hoteli i wagonów sypialnych. W więzieniach kawę pomyje podają w blaszanych kubkach, ponieważ zalane nią prześcieradła trudno jest dostrzec w ciemności, kiedy osadzony je wiąże, przygotowując ucieczkę.

Szkoła fryburska doradza zlecić kelnerowi, aby śniadanie stawiał na stoliku, nie na łóżku. Szkoła bratysławska odpowiada, że w ten sposób zapobiega się wprawdzie plamieniu kawą pościeli, ale może ona wylewać się poza brzegi tacy, plamiąc piżamę (tej hotel codziennie nie zmienia); w każdym zaś razie – mniejsza już o piżamę – kawa pita przy stoliku kapie prosto na podbrzusze i na wzgórek łonowy, wywołując oparzenia tam,

gdzie lepiej byłoby ich uniknąć. Na to zastrzeżenie szkoła fryburska reaguje wzruszeniem ramion, co do dobrych manier z pewnością nie należy.

1988

Jak wykorzystywać czas

Kiedy dzwonię do dentysty, aby umówić się na wizytę, a on mówi, że przez cały przyszły tydzień nie ma już czasu, wierzę mu. To poważny profesjonalista. Kiedy jednak ktoś zaprasza mnie na zjazd, na rozmowę przy okrągłym stole, proponuje, abym został redaktorem dzieła zbiorowego, napisał esej, uczestniczył w jury, a ja odpowiadam, że nie mam czasu, ta osoba mi nie wierzy. „Ależ, panie profesorze – mówi – człowiek taki jak pan z pewnością czas znajdzie”. Najwidoczniej my, humaniści, nie uchodzimy za poważnych profesjonalistów, jesteśmy obibokami.

Dokonałem pewnego rachunku. Proszę kolegów uprawiających podobne zawody, aby i oni spróbowali go dokonać i zawiadomili mnie, czy się zgadza. W roku nieprzestępnym jest 8760 godzin. Osiem godzin snu, godzina na przebudzenie się i na toaletę, pół godziny na rozebranie się i postawienie wody mineralnej na stoliku nocnym, nie więcej niż dwie godziny na posiłki – razem 4170 godzin. Dwie godziny na poruszanie się po mieście, łącznie 730 godzin.

Mam tygodniowo trzy dwugodzinne wykłady, jedno popołudnie przeznaczam na konsultacje ze studentami, zatem w ciągu mniej więcej dwudziestu tygodni, do których sprowadza się nauczanie w roku akademickim, moja praca na uniwersytecie obejmuje 220 godzin zajęć dydaktycznych. Dodać należy 24 godziny egzaminów, 12 godzin na doktoraty, 78 na udział w komisjach wydziałowych i na zebrania różne. W roku prowadzę przeciętnie pięć prac doktorskich po 350 stron każda, jedną stronę czytam co najmniej dwa razy – przed poprawkami i po nich – ze średnią prędkością trzech minut; daje to 175 godzin. Co się tyczy prac semestralnych, wiele z nich przeglądają moi współpracownicy; ograniczę się więc do czterech w sesji egzaminacyjnej, każda po trzydzieści stron, pięć minut lektury na stronę, wliczając omówienie wstępne, łącznie 60

godzin. Nie uwzględniłem jeszcze działalności badawczej, a suma wynosi już 1465 godzin.

Kieruję czasopismem semiotycznym „Versus”, trzy numery w roku, łącznie 300 stron. Pomijając maszynopisy przeczytane i odrzucone, przeznaczam dziesięć minut na stronę (ocena, poprawki, korekta); potrzeba na to 50 godzin. Zajmuję się dwiema seriami wydawniczymi, które dotyczą moich zainteresowań naukowych. Przyjmijmy sześć książek rocznie o łącznej objętości 1800 stron, dziesięć minut na stronę daje 300 godzin. Przekłady moich tekstów – esejów, książek, artykułów, referatów zjazdowych – biorąc pod uwagę jedynie tłumaczenia na języki, które jestem w stanie zrozumieć, to przeciętnie 1500 stron rocznie po dwadzieścia minut na stronę (lektura, porównanie z oryginałem, omówienie z tłumaczem osobiście, przez telefon lub listownie), co daje 500 godzin. Wreszcie twórczość własna. Nawet kiedy akurat nie piszę książki, to eseje, referaty zjazdowe, sprawozdania, szkice wykładów i tak dalej zajmują z łatwością trzysta stron. Załóżmy, że napisanie jednej strony wymaga co najmniej godziny: muszę się zastanowić, porobić notatki, wystukać na maszynie, poprawić. A więc znowu 300 godzin. Podchodząc do sprawy optymistycznie, jeden „zapisek na pudełku od zapałek” zabiera mi trzy godziny: trzeba wymyślić temat, sporządzić notatki, zajrzeć do kilku książek, napisać, nadać tekstowi właściwy format, wysłać go lub przedyktować. Mnożę przez 52 tygodnie i wychodzi mi 156 godzin (nie licząc artykułów nieobjętych tym cyklem). Na koniec korespondencja, z którą sobie nie radzę, chociaż przeznaczam na nią trzy przedpołudnia w tygodniu, od dziewiątej do pierwszej: 624 godziny.

Obliczyłem, że w 1987 roku – przyjmując tylko dziesięć procent propozycji, ograniczając się do zjazdów związanych ściśle z reprezentowaną przeze mnie dyscypliną, promocji prac pisanych pod kierownictwem własnym lub współpracowników, udziału w imprezach, których nie da się uniknąć (uroczystości akademickie, zebrania w kompetentnych ministerstwach) – zgromadziłem 372 godziny obecności rzeczywistej (pomijam przestoje). Ponieważ wielokrotnie udawałem się

służbowo za granicę, według mojego rachunku podróże zabrały mi 323 godziny. Z tegoż rachunku wynika, że nawet na przemieszczenie się z Mediolanu do Rzymu potrzeba czterech godzin: taksówka na lotnisko, czekanie, przelot, taksówka w Rzymie, zainstalowanie się w hotelu i dojazd na miejsce zebrania. Podróż do Nowego Jorku to 12 godzin.

Suma ostateczna wynosi 8094 godziny. Po odjęciu jej od 8760 godzin, które liczy rok, zostaje 666 godzin, czyli godzina i czterdzieści dziewięć minut dziennie, które przeznaczam na seks, spotkania z przyjaciółmi i członkami rodziny, udział w pogrzebach, troskę o zdrowie, zakupy, sport i widowiska. Jak widać, nie uwzględniłem w obliczeniach czasu na lekturę publikacji (książek, artykułów, komiksów). Przyjmując, że czytałem podczas podróży, a więc przez 323 godziny, jedną stronę w pięć minut (sama lektura plus notatki), zdołałem przeczytać 3876 stron odpowiadające jedynie 12,92 książki po 300 stron każda. A papierosy? Przy sześćdziesięciu dziennie, licząc po pół minuty na znalezienie paczki, zapalenie i zgaszenie, mamy 182 godziny. Nie mamy. Muszę przestać palić.

1988

Jak radzić sobie z taksówkarzem

W chwili wsiadania do taksówki pojawia się problem poprawnych stosunków z taksówkarzem. Taksówkarz to człowiek, który prowadzi przez cały dzień w ruchu miejskim – czynność wiodąca albo do zawału, albo do poważnych zaburzeń nerwowych – wśród skonfliktowanych z nim innych kierowców. W rezultacie jest stale zdenerwowany i nienawidzi każdego stworzenia człekokształtnego. Skłania to ludzi o poglądach *radical chic* do twierdzenia, że wszyscy taksówkarze są faszystami. To nieprawda, taksówkarza nie interesują ideologie; on nie znosi manifestujących związkowców nie ze względu na ich orientację polityczną, ale dlatego, że zakłócają ruch. Nienawidziłby także maszerującej młodzieży faszystowskiej. Pragnie tylko silnego rządu, który postawiłby pod ścianą wszystkich prywatnych posiadaczy samochodów i wprowadziłby rozsądną godzinę policyjną od szóstej rano do północy. Nie lubi kobiet – ale jedynie tych, które chodzą po mieście. Jeśli siedzą w domu i gotują makaron, odnosi się do nich tolerancyjnie.

Włoscy taksówkarze dzielą się na trzy kategorie. Na tych, którzy przez cały czas trwania kursu wypowiadają powyższe opinie; tych, którzy uparcie milczą i wyrażają swoją mizantropię poprzez sposób, w jaki prowadzą samochód; i tych, którzy rozładowują ciążące im napięcie, stosując prostą narrację, czyli opowiadając o swoich przygodach z pasażerami. Chodzi o pozbawione jakiejkolwiek alegorycznej wymowy *tranches de vie*, które opowiedziane w knajpie skłoniłyby właściciela do wyrzucenia klienta, z komentarzem, że pora już iść spać. Dla taksówkarza są one jednak ciekawe i zaskakujące, należy zatem zachęcać go często uwagami w rodzaju: „Co za ludzie, nie do wiary, naprawdę się to panu przydarzyło?!”. Taki udział w narracji nie wyrwie taksówkarza z jego konfabulacyjnego autyzmu, a wy poczujecie się lepszymi ludźmi.

W Nowym Jorku Włoch naraża się na ryzyko, gdy przeczytawszy na tabliczce nazwisko w rodzaju De Cutugnatto, Esippositto, Perquocco, wyjawia swoją narodowość. Taksówkarz zaczyna wtedy mówić nigdy niesłyszanym przez was językiem i strasznie się obraża, że go nie rozumiecie. Musicie natychmiast powiedzieć po angielsku, że znany jest wam wyłącznie dialekt z rodzinnych stron. Taksówkarz żywi zresztą przekonanie, że u nas językiem ogólnonarodowym jest już angielski. Nowojorscy taksówkarze noszą jednak na ogół nazwiska żydowskie lub nieżydowskie. Noszący nazwiska żydowskie są reakcyjnymi syjonistami, noszący nazwiska nieżydowskie – reakcyjnymi antysemitami. Nie wygłaszają twierdzeń, domagają się deklaracji. Trudno zachować się właściwie wobec tych, których nazwisko kojarzy się wam niewyraźnie ze Środkowym Wschodem albo z Rosją; nie wiadomo bowiem, czy to Żydzi, czy nie. Aby uniknąć incydentów, musicie wtedy powiedzieć, że zmieniliście zamiar i chcecie jechać już nie na róg Siódmej i Czternastej, ale na Charlton Street. Taksówkarz się wścieknie, zahamuje i każe wam wysiąść, ponieważ w Nowym Jorku taksówkarze znają tylko ulice oznaczone numerami, ulic mających nazwy nie znają.

Natomiast taksówkarz paryski nie zna żadnych ulic. Jeśli mu powiecie, żeby was zawiózł na plac Saint-Sulpice, zawiezie was na Odéon, mówiąc, że nie wie, jak dalej jechać. Przedtem będzie długo się użalał na wasze wymagania, powtarzając różne *ah, ça, monsieur, alors...* Moglibyście mu zaproponować, żeby zajrzał do swojego przewodnika, ale wtedy albo nie odpowie, albo da wam do zrozumienia, że jeżeli potrzebujecie konsultacji bibliograficznej, powinniście zwrócić się do archiwisty paleografa z Sorbony. Osobną kategorię stanowią ludzie Wschodu: z wielką serdecznością zapewniają was, że nie macie czym się martwić, że zaraz trafią na wskazane miejsce. Przejeżdżają potem trzykrotnie Grands Boulevards i pytają wreszcie, czy robi wam różnicę, że zamiast na Gare du Nord zawieźli was na Gare de l’Est, bo przecież i tam są pociągi.

W Nowym Jorku nie można wezwać taksówki przez telefon, jeżeli nie należy się do jakiegoś klubu. W Paryżu można, tyle że nie przyjedzie.

W Sztokholmie możecie z niej skorzystać jedynie po zamówieniu telefonicznym, ponieważ taksówkarze nie ufają byle jakiemu przechodniowi. Żeby jednak uzyskać właściwy numer telefonu, musicie zatrzymać jadącą ulicą taksówkę, której kierowca – jak już powiedziano – okazuje nieufność.

Taksówkarze niemieccy są uprzejmi, zachowują się poprawnie, nie gadają, cisną tylko pedał gazu. Kiedy wysiadacie trupio bladzi, już rozumiecie, dlaczego przyjeżdżają odpoczywać we Włoszech, gdzie prowadzą przed wami z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, jadąc pasem ruchu przeznaczonym do wymijania.

W wyścigu taksówkarza z Frankfurtu w porsche z taksówkarzem z Rio w poobijanym volkswagenie pierwszy na metę dojechałby jednak taksówkarz z Rio, także dlatego, że nie zatrzymuje się na światłach. Gdyby to robił, zbliżyłby się do niego inny poobijany volkswagen, z chłopakami, którzy wyciągają ręce i zabierają wam zegarki.

Wszędzie na świecie rozpoznaje się taksówkarza w jeden niezawodny sposób. To człowiek, który nigdy nie jest w stanie wydać wam reszty.

1988

Jak zdementować dementi

List dementujący

Szanowny Panie Redaktorze, nawiązując do artykułu *W idy nie widziałem* opublikowanego w ostatnim numerze Pańskiej gazety z podpisem Wierny Prawdzie, pozwalam sobie sprecyzować, co następuje. Nieprawdą jest, jakobym był obecny przy zamordowaniu Juliusza Cezara. Jak zauważy Pan, uprzejmie czytając załączone świadectwo urodzenia, przyszedłem na świat w Molfetcie 15 marca 1944 roku, a więc wiele stuleci po tym nieszczęśliwym wydarzeniu, które skądinąd zawsze potępiałem. Pan Wierny musiał źle mnie zrozumieć, kiedy mu powiedziałem, że świętuję regularnie z kilkoma przyjaciółmi dzień 15 marca 44 roku.

Nieprawdą jest również, jakobym powiedział później do niejakiego Brutusa: „Zobaczymy się znowu pod Filippi”[10]. Precyzuję, że nie zadawałem się nigdy z panem Brutusem, nawet jego nazwisko było mi do wczoraj obce. W trakcie naszego krótkiego wywiadu telefonicznego powiedziałem w istocie panu Wiernemu, że wkrótce zobaczę się ponownie z radnym miejskim do spraw ruchu kołowego Filippim, lecz zdanie padło w kontekście rozmowy o problemach motoryzacyjnych. W powyższym kontekście nie powiedziałem też bynajmniej, że najmuję morderców, aby wyeliminowali tego zwariowanego zdrajcę Juliusza Cezara. Powiedziałem natomiast: „Namawiam radnego, aby wyeliminował zwariowany ruch z placu Juliusza Cezara”.

Z podziękowaniem i wyrazami poważania,
Pański Precyzjusz Dementius

Odpowiedź Wiernego Prawdzie

Przyjmuję do wiadomości, że pan Dementius nie przeczy bynajmniej, iż Juliusza Cezara zamordowano w idy marcowe 44 roku. Przyjmuję także do wiadomości, że pan Dementius świętuje zawsze z przyjaciółmi rocznicę 15 marca 44 roku. Właśnie ten osobliwy obyczaj chciałem napiętnować w swoim artykule. Pan Dementius może mieć osobiste powody, aby popijając tęgo, świętować ten dzień, nie zaprzeczy jednak, że zbieżność dat jest co najmniej szczególna. Pamięta też zapewne, że w trakcie długiego i bogatego w treść wywiadu telefonicznego, którego mi udzielił, wypowiedział zdanie: „Uważam, że zawsze trzeba oddać Cezarowi to, co należy do Cezara”. Otóż z bardzo bliskiego panu Dementiusowi źródła, w którego miarodajność nie wątpię, zapewniono mnie, że Cezar otrzymał dwadzieścia trzy ciosy puginałem. Stwierdzam, że w całym swoim liście pan Dementius unika poinformowania nas, kto właściwie te ciosy zadał.

Co się tyczy przykrego sprostowania dot. Filippi, mam przed oczami swój notes, w którym zapisano bez cienia wątpliwości, że pan Dementius nie powiedział „Zobaczę się znowu z panem Filippi”, lecz „Zobaczymy się znowu pod Filippi”.

Mogę zapewnić, że to samo dotyczy pogróżek pod adresem Juliusza Cezara. Czytam wyraźnie w notesie, który mam obecnie przed oczami: „na...rd elimin. zwar... r... Juliusza Cezara”. Nie usiłujmy dowodzić tego, czego dowieść się nie da, i uprawiać igraszek słownych. Nie uda się w ten sposób uchylić od poważnej odpowiedzialności ani założyć knebla prasie.

1988

Jak wrzucać do kosza telegramy

Kiedyś po otrzymaniu rano poczty otwierało się koperty zamknięte i wyrzucało otwarte. Obecnie instytucje, które wysyłały koperty otwarte, zaklejają je lub wysyłają wam listy polecone. Człowiek męczy się, aby otworzyć przesyłkę, i znajduje w niej zaproszenie pozbawione jakiejkolwiek wagi. Męczy się dlatego, że bardziej wymyślne koperty opatrzone są dzisiaj zamknięciem hermetycznym, które skutecznie stawia opór nożykom do cięcia papieru, zębom i zadającemu ciosy wielkiemu nożowi. Klej zastąpiono szybko tężejącym cementem dentystycznym. Na szczęście można uratować się od sprzedaży promocyjnych, ponieważ na kopercie widnieje wypisane szczerozłotymi literami zapewnienie „gratis". Nauczono mnie już w dzieciństwie, że jeśli proponują mi coś gratis, powinienem dzwonić do karabinierów.

Jest jednak coraz gorzej. Kiedyś z przejęciem, z niecierpliwością otwierało się telegramy: zawierały złe wiadomości lub donosiły o nagłym zgonie bogatego wuja w Ameryce. Obecnie telegram wysyła każdy, kto nie ma nic interesującego do powiedzenia.

Są trzy rodzaje telegramów. Rozkazujący: „Zapraszamy pojutrze ważny zjazd o uprawie łubinu w Aspromonte z udziałem wiceministra leśnictwa, prosimy podać pilnie dalekopisem godzinę przybycia" (dalej dwie strony skrótów i numerów, wśród których ginie oczywiście – i na szczęście – podpis wymagającego nadawcy). Pojednawczy: „Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami potwierdzamy Pański udział zjazd opieka koala paraplegiczne, prosimy o pilny kontakt faksem". Żadnych wcześniejszych ustaleń naturalnie nie było, może propozycja nadejdzie dopiero w liście. List dojdzie jednak po telegramie, który już został wyrzucony, i podzieli jego los. Zagadkowy: „Data okrągłego stołu informatyka a krokodyle

przesunięta z wiadomych przyczyn, prosimy potwierdzić gotowość udziału w nowym terminie”. Co za data? Jakie potwierdzenie? Wyrzucamy.

Teraz telegram wyparła jednak przesyłka *overnight express*. Kosztuje tyle, że zbladłby sam De Benedetti[11], otworzyć ją można jedynie nożycami do cięcia drutu kolczastego, a skonstruowana jest tak, że nawet po otwarciu nie wyjawia od razu swojej zawartości, bo trzeba jeszcze pokonać zaporę z kilku warstw taśmy samoprzylepnej. Niekiedy wybiera się ten typ przesyłki z powodów czysto snobistycznych (jak w przypadku obrządków rytualnego unicestwienia zbadanych przez Maussa[12]): w środku znajdujemy wreszcie bilecik ze słówkiem „cześć” (ale potrzeba kilku godzin, żeby go znaleźć, bo koperta jest rozmiarów worka na śmieci, a nie wszyscy mają ramiona długie jak Mister Hyde). Częściej ma charakter szantażu i zawiera także kopertę na odpowiedź. Nadawca oświadcza w domyśle: „Żeby powiedzieć ci to, co chcę powiedzieć, wydałem ogromną sumę, szybkość, z jaką to zrobiłem, świadczy o dręczącym mnie niepokoju, odpowiedź jest opłacona, więc jeśli nie odpowiesz, łajdak z ciebie prawdziwy”. Taką zuchwałość należy ukarać. Otwieram odtąd tylko te *overnight*, których wyraźnie żądałem przez telefon. Inne wyrzucam, ale i tak sprawiają kłopot, bo zapychają kosz na śmieci. Marzę o gołębiach pocztowych.

Telegramy i *overnight* często zawiadamiają o nagrodach. Na naszym świecie istnieją wyróżnienia i nagrody, które każdy z chęcią przyjmuje (Nobel, Złote Runo, Order Podwiązki, Loteria Noworoczna), oraz takie, które pragną jedynie tego, by ktokolwiek zechciał je przyjąć. Kto zamierza wylansować nową pastę do butów, prezerwatywę opóźniającą albo wodę siarczaną, ustanawia nagrodę. Dowiedziono już, że znaleźć jurorów nie jest trudno. Trudno jest znaleźć osoby, którym nagrodę się przyzna. Chętni znaleźliby się oczywiście, gdyby chodziło o ludzi młodych, stojących na progu kariery, ale wtedy nie pojawiłyby się prasa i telewizja; dlatego nagrodzonym musi być przynajmniej ktoś taki jak Rubbia[13]. Gdyby jednak Rubbia odbierał wszystkie nagrody, które mu narzucają – żegnaj, działalności badawcza! Telegram z wiadomością o przyznaniu nagrody

musi więc brzmieć rozkazująco i dawać do zrozumienia, że w razie odmowy grożą poważne sankcje: „Zawiadamiając z przyjemnością, że dziś wieczorem za pół godziny zostanie Panu przyznane Złote Suspensorium, informujemy, że Pańska obecność jest niezbędna, aby jury mogło głosować jednomyślnie i bezinteresownie. W przeciwnym wypadku będziemy, niestety, zmuszeni wybrać kogoś innego”. Z treści wynika, że adresat powinien podskoczyć na krześle i zawołać: „Nie, ja, ja!”.

A, byłbym zapomniał. Zdarzają się też pocztówki z Kuala Lumpur podpisane „Giovanni”.

Co za Giovanni?

1988

Jak się zaczyna, jak kończy

W moim życiu jest pewien dramat. Studia wyższe odbyłem w Turynie jako stypendysta, mieszkając w akademiku. Z tamtych lat zachowałem miłe wspomnienia i głęboką odrazę do tuńczyka. Stołówkę otwierano przy każdym posiłku na półtorej godziny. Kto przyszedł w ciągu pierwszej półgodziny, dostawał potrawę przygotowaną na dany dzień, kto zjawił się później – już tylko tuńczyka. Ja zjawiałem się zawsze później. Wyłączając miesiące letnie i niedziele, przez owe cztery lata spożyłem 1920 posiłków złożonych z tuńczyka. Mój dramat nie na tym jednak polegał.

Nie mieliśmy pieniędzy, a łaknęliśmy bez umiaru także kina, muzyki i widowisk. Co się tyczy teatru Carignano, znaleźliśmy doskonałe rozwiązanie. Przychodziło się na dziesięć minut przed początkiem spektaklu i zbliżało do pana (jak się nazywał?), szefa klakierów; ściskało mu się dłoń, wsuwając w nią sto lirów, a on nas wpuszczał. Byliśmy klaką płacącą.

Akademik zamykano jednak nieuchronnie o północy. Kto nie zdążył, musiał zostać na zewnątrz, student bowiem jako lokator nie podlegał żadnym ograniczeniom dyscyplinarnym i jeśli chciał, mógł nie pojawiać się w akademiku przez cały miesiąc. A zatem na dziesięć minut przed północą trzeba było opuścić teatr i szybko dreptać do celu. Jednak dziesięć minut przed północą sztukę wciąż grano. I tak przez cztery lata obejrzałem wszystkie arcydzieła teatralne wszystkich stuleci, lecz wszystkie bez ostatnich dziesięciu minut.

Nie dowiedziałem się więc, jak poradził sobie Edyp, dokonawszy straszliwego odkrycia, co stało się z sześcioma postaciami w poszukiwaniu autora, czy Oswald Alving wyzdrowiał dzięki penicylinie, czy Hamlet ustalił wreszcie, że jednak warto być. Nie wiem, kim jest pani Ponza, czy Ruggero Ruggeri w roli Sokratesa wypił cykutę, czy Otello spoliczkował

Jagona przed wyjazdem w drugą podróż poślubną, czy powrócił do zdrowia chory z urojenia, czy wszyscy wypili z Giannettacciem, jaki koniec spotkał Milę Kodrę[14]. Sądziłem, że jestem jedynym śmiertelnikiem dotkniętym tak bezkresną ignorancją, kiedy przypadkiem, wspominając dawne czasy z przyjacielem Paolem Fabbrim[15], odkryłem, że on od wielu lat cierpi na coś zupełnie odwrotnego. Jako student zatrudniony był w którymś z teatrów akademickich w mieście, a jego praca polegała na sprawdzaniu biletów przy drzwiach. Spóźnialskich było wielu, więc mógł wejść na salę dopiero po drugim akcie. Widział króla Leara, jak ślepy i rozchełstany krąży ze zwłokami Kordelii w ramionach, i nie pojmował, kto doprowadził oboje do tak opłakanego stanu. Słyszał Milę Kodrę wołającą, że płomień jest piękny, i zachodził w głowę, dlaczego pieką na ruszcie to dziewczę o nader szlachetnym usposobieniu. Nie zrozumiał nigdy, z jakiej przyczyny Hamlet ma żal do stryja, który wydawał się bardzo porządnym człowiekiem. Patrzył, jak Otello robi to, co robi, i nie mógł pojąć, dlaczego taką żoneczkę kładzie pod poduszkę zamiast na niej.

Krótko mówiąc, zwierzaliśmy się sobie nawzajem. No i odkryliśmy, że przed nami wspaniała starość. Siedząc na schodkach wiejskiego domostwa albo na ławeczce w miejskim parku, przez całe lata będziemy sobie opowiadać jeden początek, drugi zakończenie, i wydawać pełne zdumienia okrzyki za każdym razem, gdy odkryjemy wydarzenia poprzedzające lub katharsis.

– Naprawdę? Co on powiedział?

– Powiedział: „Mamo, pragnę słońca!”.

– No to było już po nim.

– Tak, ale co z nim właściwie się działo?

Szepnę mu coś do ucha.

– Boże mój, co za rodzina, teraz rozumiem...

– Ale opowiedz mi o Edypie...

– Nie ma wiele do opowiadania. Mamusia się wiesza, on się oślepia.

– Biedny chłopak. Ale niepojętny, dawano mu przecież do zrozumienia na wszelkie sposoby.

– Rzeczywiście, mnie też ciągle to nęka. Dlaczego nie zrozumiał?

– Postaw się na jego miejscu. Kiedy wybucha zaraza, on jest już królem i szczęśliwym mężem...

– Więc kiedy żenił się z mamusią, niczego nie...

– Właśnie, i to jest najlepsze.

– Kłania się Freud. Nie do uwierzenia.

Będziemy wtedy szczęśliwsi? Czy też utracimy świeżość ludzi obdarzonych przywilejem przeżywania sztuki jak życia, do którego wkraczamy, kiedy kości zostały już rzucone, a które opuszczamy, nie wiedząc, dokąd podążą inni?

1988

Jak nie wiedzieć, która godzina

Zegarek, którego opis czytam (Patek Philippe, kaliber 89), jest kieszonkowy, ma podwójną kopertę z osiemnastokaratowego złota i 33 funkcje. Przedstawiające go czasopismo nie podaje ceny – sądzę, że z braku miejsca (ale wystarczyłoby przecież podać ją ze skrótem „mld” zamiast dziewięciu zer). Głęboko sfrustrowany poszedłem kupić nowy casio za 50 tysięcy lirów, jak ci, którzy szaleńczo pragną posiąść ferrari i aby się uspokoić, idą kupić przynajmniej radiobudzik. Zresztą żeby nosić zegarek kieszonkowy, musiałbym nabyć także odpowiednią kamizelkę.

Ale przecież – powiedziałem sobie – mógłbym trzymać go na stole. Siedziałbym tam godzinami i znał bez chwili przerwy dzień miesiąca i tygodnia, miesiąc, rok, dekadę, wiek, rok cyklu przestępnego, minuty i sekundy czasu ustawowego, godzinę, minuty i sekundy innej strefy czasowej (do wyboru), temperaturę, godzinę gwiazdową, fazę Księżyca, porę wschodu i zachodu Słońca, równanie czasu, położenie Słońca w zodiaku. Pomijam już to, że mógłbym rozkoszować się smakiem nieskończoności, oglądając kompletną, ruchomą mapę nieba lub unieruchamiając i przesuwając różne tarcze i strzałki zegarka, a dzięki wbudowanemu budzikowi decydować, kiedy na chwilę się zatrzymać. Ach, byłbym zapomniał: specjalna wskazówka sygnalizowałaby, ile czasu pozostaje do chwili, w której mam go ponownie nakręcić. I jeszcze jedno byłbym zapomniał: mógłbym też zobaczyć, która godzina. Ale właściwie po co?

Gdybym posiadał taki cud, nie obchodziłoby mnie zupełnie, że jest dziesięć po dziesiątej. Śledziłbym raczej wschody i zachody Słońca (byłoby to możliwe nawet w ciemni fotograficznej), kontrolował temperaturę, stawiał horoskopy, w dzień, wpatrzony w błękitną tarczę, marzył o gwiazdach, które zobaczę nocną porą, a noce spędzał na rozmyślaniach

nad czasem dzielącym nas od Wielkanocy. Właścicielowi podobnego zegarka zbędna byłaby już troska o czas zewnętrzny, ponieważ przez całe życie należałoby zajmować się wyłącznie tym urządzeniem, a czas, o którym ono opowiada, z nieruchomego obrazu wieczności przeobraziłby się w wieczność czynną, stałby się więc baśniową złudą, tworem tego magicznego zwierciadła.

Piszę o tym wszystkim, ponieważ od pewnego czasu pojawiają się czasopisma poświęcone wyłącznie zegarkom dla kolekcjonerów, na lśniącym papierze, kolorowe i dość drogie, a ja zastanawiam się, czy nabywcami owych periodyków są tylko czytelnicy, którzy przeglądają je jak książki z bajkami, czy też zwracają się one do klienteli zainteresowanej kupnem zachwalanego towaru, co niekiedy podejrzewam. Oznaczałoby to, że im bardziej zegarek mechaniczny, cudowny owoc wielowiekowego doświadczenia, staje się zbędny, ponieważ zastępuje go zegareczek elektroniczny za kilka tysięcy lirów, tym częściej rodzi się i rozpowszechnia pragnienie, aby popisywać się takimi zdumiewającymi i doskonałymi przyrządami do mierzenia czasu, przyglądać się im czule, nabywać je jako lokatę kapitału.

Jest oczywiste, że tych zegarków nie skonstruowano bynajmniej po to, aby wskazywały, która godzina. Obfitość funkcji i ich gustowne rozłożenie na wielu symetrycznie umieszczonych tarczach powoduje, że aby się dowiedzieć, iż jest dwadzieścia po trzeciej w piątek 24 maja, trzeba długo wodzić oczami, śledząc ruch bardzo licznych wskazówek, i zapisywać stopniowo wyniki w notesie. A jednak zawistni elektronicy japońscy, zawstydzeni już swoją staromodną praktycznością, obiecują dziś mikroskopijne mechanizmy wskazujące ciśnienie barometryczne, wysokość nad poziomem morza i głębokość pod jego poziomem, a ponadto służące jako chronometr, programator czasowy, termometr oraz – rzecz jasna – baza danych; wyczytamy z nich wszystkie strefy czasowe, wyposażone też będą w osiem budzików, kalkulator do przeliczania walut i dźwiękową sygnalizację godzin.

Grozi nam, że wszystkie tego rodzaju zegarki, podobnie jak cały dzisiejszy przemysł informacyjny, w ogóle nie będą informować, bo informują zbyt intensywnie. Mają też one inną, właściwą przemysłowi informacyjnemu cechę: dostarczają wiadomości wyłącznie o sobie samych i o swoim wewnętrznym funkcjonowaniu. Szczytowym osiągnięciem są tu niektóre zegarki damskie o niedostrzegalnych wskazówkach i marmurowym cyferblacie bez oznaczonych godzin i minut, wyprofilowanym tak, że w najlepszym wypadku można stwierdzić, iż jest właśnie jakaś godzina między południem a północą, chyba przedwczoraj. No bo przecież (sugeruje pośrednio designer) przeznaczone są dla pań, a one czym mają się zajmować, jeżeli nie patrzeniem na przyrząd wyrażający próżność własną?

1988

Jak przejść kontrolę celną

Ubiegłej nocy po miłosnej schadzce zabiłem jedną ze swoich licznych kochanek, zadając jej ciosy cenną solniczką Celliniego. Nie tylko dlatego, że od dzieciństwa wpajano mi surowe zasady moralne, zgodnie z którymi kobieta hołdująca zmysłowym rozkoszom nie zasługuje na litość, lecz także ze względów estetycznych – aby poczuć dreszcz emocji, jaki daje zbrodnia doskonała.

Słuchając z kompakt dysku angielskiej muzyki barokowej na wodzie, poczekałem, aż trup ostygnie i krew zakrzepnie. Potem zacząłem ciąć ciało piłą elektryczną, przy czym w poszanowaniu kultury, bez której nie ma uprzejmości ani umowy społecznej, starałem się przestrzegać podstawowych zasad anatomii. Zapakowałem następnie pokawałkowane zwłoki do dwóch walizek ze skóry dziobaka, włożyłem szary garnitur i wsiadłem do wagonu sypialnego pociągu jadącego do Paryża.

Po wręczeniu konduktorowi paszportu i wiarygodnej deklaracji celnej, do której wpisałem te zabrane ze sobą kilkaset tysięcy franków, zasnąłem snem sprawiedliwego, nic bowiem nie zapewnia lepszego wypoczynku niż świadomość należycie spełnionego obowiązku. Celnicy nie pozwolili sobie zakłócać snu podróżnemu, który kupiwszy bilet na jednoosobowy przedział pierwszej klasy, zadeklarował ipso facto przynależność do klasy panującej, a tym samym dał do zrozumienia, że jest ponad wszelkim podejrzeniem. Sytuacja była dla mnie tym bardziej dogodna, że w obawie przed nawrotem głodu narkotycznego wziąłem ze sobą niewielką ilość morfiny, osiem lub dziewięć deka kokainy, a ponadto jeden obraz Tycjana.

Przemilczę sposób, w jaki w Paryżu pozbyłem się żałosnych szczątków. Pozostawiam to waszej wyobraźni. Wystarczy pójść do Centre Pompidou i postawić walizki na jednych z ruchomych schodów – przez lata całe nikt nie zwróci na nie uwagi. Albo włożyć je do skrytki w przechowalni na Gare

de Lyon. Mechanizm otwierający skrytki za pomocą hasła jest tak skomplikowany, że nikt nie ośmiela się przeprowadzić kontroli spoczywających w nich tysięcy paczek. Moglibyście też po prostu usiąść przy stoliku w Deux Magots, zostawiwszy walizki przed księgarnią La Joie de Lire; ukradną je wam już po kilku minutach, no i niech złodziej się martwi. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że cała sprawa wywołała u mnie stan napięcia, który występuje zresztą zawsze po dokonaniu operacji skomplikowanej i pod względem artystycznym doskonałej.

Powróciwszy do Włoch, czułem się podenerwowany i postanowiłem odpocząć w Locarno. Z jakiegoś niewytłumaczalnego poczucia winy, z nieuchwytnej obawy, że ktoś mnie rozpozna, zdecydowałem się jechać drugą klasą w dżinsach i w koszulce polo z naszytym krokodylem.

Na granicy opadli mnie gorliwi funkcjonariusze celni. Przejrzeli mój bagaż, nie oszczędzając najbardziej osobistej bielizny, i stwierdzili nielegalny wywóz do Szwajcarii kartonu papierosów MS z filtrem. Zauważyli też, że znaczek opłaty skarbowej w moim paszporcie dwa tygodnie wcześniej stracił ważność. Odkryli wreszcie, że schowałem w zwieraczu 50 franków szwajcarskich niepewnego pochodzenia, ponieważ nie byłem w stanie dowieść, że zakupiłem je jak należy w banku.

Przesłuchiwano mnie, świecąc w oczy tysiącwatową żarówką, bito mokrym ręcznikiem i zamknięto czasowo w izolatce, przywiązawszy pasami do łóżka.

Na szczęście przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Oświadczyłem, że jestem członkiem loży P2 od chwili jej powstania, że kierowany pobudkami ideologicznymi podłożyłem kilka bomb w pociągach pospiesznych i że uważam się za więźnia politycznego.

Umieszczono mnie w ośrodku zdrowia Grand Hotel des Iles Borromées, w jednoosobowym pokoju. Dietetyk doradził mi, abym zrezygnował z paru posiłków w celu odzyskania właściwej wagi, a zaufany psychiatra rozpoczął starania o przeniesienie mnie do aresztu domowego ze względu na niezaprzeczalną anoreksję. Napisałem tymczasem kilka anonimów do sędziów sądu okręgowego, insynuując, że piszą do siebie wzajemnie

anonimy, oraz zadenuncjowałem Matkę Teresę z Kalkuty, oskarżając ją o aktywną współpracę z Walczącymi Drużynami Komunistów.

Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak pójść powinno, za tydzień będę w domu.

1989

Jak nie posługiwać się faksem

Faks to prawdziwie wspaniały wynalazek. Wyjaśnienie dla tych, którzy jeszcze nie mieli z nim do czynienia: wkładacie do niego list i wystukujecie numer waszego korespondenta, a ten w kilka sekund list otrzymuje. Nie tylko list, lecz także rysunki, plany, fotografie, całe strony skomplikowanych obliczeń, których nie można podyktować przez telefon. Jeżeli list idzie do Australii, kosztuje to tyle samo co międzykontynentalna rozmowa telefoniczna podobnej długości. Jeżeli idzie z Mediolanu do Saronno – tyle samo co połączenie międzymiastowe. Weźcie pod uwagę, że telefon z Mediolanu do Paryża kosztuje w godzinach wieczornych mniej więcej tysiąc lirów. W kraju takim jak nasz, gdzie poczta ex definitione nie działa, faks rozwiązuje wszelkie problemy. Ludzie na ogół nie wiedzą również, że faks można kupić po przystępnej cenie i trzymać go w sypialni albo zabierać ze sobą w podróż. Kosztuje w przybliżeniu od półtora do dwóch milionów lirów. Dużo jak na zachciankę, mało jednak, jeśli wykonywana praca zmusza was do korespondowania z wieloma osobami w rozmaitych miastach.

Istnieje, niestety, nieubłagane prawo rozwoju techniki: kiedy najbardziej rewolucyjne wynalazki stają się dostępne dla wszystkich, przestają być dostępne. Rozwój techniki jest zasadniczo demokratyczny, ponieważ obiecuje wszystkim te same świadczenia, ale funkcjonuje tylko wtedy, gdy korzystają z niego bogaci. W rękach ubogich się psuje. Kiedy pociąg potrzebował dwóch godzin, aby przejechać z punktu A do punktu B, pojawił się samochód, który docierał tam w godzinę i dlatego bardzo dużo kosztował. Zaledwie jednak samochód stał się dostępny dla mas, na drogach wystąpiły zatory i pociąg znowu okazał się szybszy. Pomyślcie, jak bardzo niedorzeczny w dobie panowania samochodu wydaje się apel o korzystanie z komunikacji miejskiej; a przecież korzystając z niej, godząc

się na rezygnację z uprzywilejowania, dojedziecie do celu prędzej od uprzywilejowanych.

W przypadku samochodu upłynęło wiele dekad, zanim nastąpiła zapaść. W przypadku faksu, który jest bardziej demokratyczny (kosztuje w istocie mniej niż samochód), doszło do tego w niecały rok. Obecnie szybciej działa poczta, ponieważ faks zachęca do korespondowania. Kiedy dawniej mieszkaliście w Molfetcie, a syna mieliście w Sydney, pisaliście do niego raz na miesiąc i telefonowaliście raz na tydzień. Teraz faksem możecie wysłać mu natychmiast pierwsze zdjęcie kuzyneczki, która dopiero co przyszła na świat. Jak oprzeć się takiej pokusie? Ponadto świat zamieszkuje coraz więcej osób pragnących powiedzieć wam coś, co was nie interesuje: jak najkorzystniej dokonać inwestycji, jak zakupić jakiś przedmiot, jak uszczęśliwić nadawcę, wysyłając mu czek, jak zrealizować się w pełni, uczestnicząc w zjeździe, dzięki któremu udoskonalicie swoje kwalifikacje. Wszyscy ci ludzie, zaledwie dowiedzieli się, że macie faks – a niestety, istnieją książki telefoniczne – wysyłają wam na wyścigi, za skromną opłatą, całkiem niepotrzebne wiadomości.

W rezultacie podchodzicie rano do swojego faksu i widzicie, że tonie w morzu korespondencji, która nagromadziła się w ciągu nocy. Rzecz jasna, wyrzucacie ją, nie przeczytawszy; gdyby jednak ktoś bliski chciał was zawiadomić, że odziedziczyliście dziesięć miliardów po wujku z Ameryki, ale musicie przed ósmą zgłosić się do notariusza, linia byłaby zajęta i informacja by do was nie dotarła. Żeby się z wami porozumieć, zawiadamiający musiałby więc skorzystać z usług poczty. Faks staje się kanałem przepływu wiadomości bez znaczenia, podobnie jak samochód staje się wehikułem do powolnej jazdy, przeznaczonym dla ludzi mających czas do stracenia i gotowych stać w długim zatorze, słuchając Mozarta lub Sabriny Salerno.

Dodajmy, że faks wprowadza nowy element do dynamiki nudziarstwa. Do dzisiaj nudziarz, jeśli chciał was nudzić, musiał płacić sam (za telefon, znaczek pocztowy, taksówkę, aby przyjechać i zadzwonić do waszych

drzwi). Obecnie wy również ponosicie część kosztów, bo papier do faksu kupujecie sami.

Co zatem robić? Pomyślałem, że mógłbym zamówić papier z wydrukowanym nagłówkiem: „Faks niepożądany zostanie automatycznie wrzucony do kosza”; sądzę jednak, że nie okazałoby się to wystarczające. Jeżeli wolno mi udzielić rady: wyłączajcie faks. Kiedy ktoś zechce wam coś przysłać, będzie musiał zatelefonować i poprosić o włączenie. Mogłoby to jednak spowodować przeciążenie linii telefonicznych. A więc lepiej niech ten, kto chce przysłać wam wiadomość faksem, najpierw do was napisze. Potem wy odpowiecie: „Wyślij swoją wiadomość faksem w poniedziałek pięć minut i dwadzieścia siedem sekund po piątej czasu Greenwich, włączę wtedy aparat tylko na cztery minuty i trzydzieści sześć sekund”.

1989

Jak reagować na znane twarze

Kilka miesięcy temu, spacerując po Nowym Jorku, ujrzałem z daleka doskonale mi znanego faceta, który szedł w moją stronę. Niestety, nie byłem w stanie sobie przypomnieć, gdzie go poznałem i jak się nazywa. Podobne sytuacje zdarzają się najczęściej, kiedy w obcym mieście spotykamy kogoś poznanego w ojczyźnie i na odwrót. Twarz widziana nie na swoim miejscu wywołuje dezorientację. Tamtą twarz tak dobrze znałem, że z pewnością powinienem był zatrzymać się, przywitać, porozmawiać; on może powiedziałby zaraz: „Drogi Umberto, co u ciebie?” albo nawet „No i jak, zrobiłeś to, o czym mi mówiłeś?”, a ja nie wiedziałbym, jak się zachować. Więc udać, że go nie widzę? Za późno, jeszcze przed chwilą patrzył w inną stronę, ale teraz kierował wzrok na mnie. Lepiej przejąć inicjatywę, pozdrowić, a potem starać się sobie przypomnieć, jak tylko usłyszę głos, pierwsze słowa.

Jest już o dwa kroki ode mnie, miałem właśnie szeroko, promiennie się uśmiechnąć, wyciągając dłoń, kiedy nagle go rozpoznałem. To był Anthony Quinn. Oczywiście nigdy w życiu się nie spotkaliśmy. W tysiącznym ułamku sekundy zdążyłem się powstrzymać i minąłem go z oczami wbitymi w próżnię.

Zastanawiając się później nad tym incydentem, doszedłem do wniosku, że nie było w nim niczego niezwykłego. Zdarzyło mi się już kiedyś, że w restauracji dostrzegłem Charltona Hestona i odruchowo chciałem mu się ukłonić. Takie twarze zaludniają naszą pamięć, spędziliśmy z nimi wiele godzin, patrząc na ekran, stały się nam bliskie jak twarze krewnych, nawet bardziej. Można być naukowcem zajmującym się środkami masowego przekazu, rozprawiać o oddziaływaniu rzeczywistości, o pomieszaniu jej ze światem wyobraźni i o ludziach, którzy są owego pomieszania ofiarą, ale

jednocześnie nie umieć temu syndromowi stawić czoła. Na nieszczęście jest nawet gorzej.

Zwierzyło mi się kilka osób, które przez pewien czas były wystawione na działanie środków masowego przekazu, gdyż dość często występowały w telewizji. Nie mówię tu o prezenterach jak Pippo Baudo czy Maurizio Costanzo, lecz o osobach, które ze względów zawodowych musiały uczestniczyć w różnych dyskusjach – na tyle często, że stawały się rozpoznawalne. Wszystkie one uskarżają się na te same nieprzyjemne doświadczenia. Widząc kogoś, kogo osobiście nie znamy, zazwyczaj nie wpatrujemy się długo w jego twarz, nie wskazujemy go palcem naszym rozmówcom, nie mówimy o nim głośno, kiedy może nas słyszeć. Bylibyśmy bowiem wtedy niegrzeczni, a po przekroczeniu pewnej granicy wręcz agresywni. Otóż ci sami ludzie, którzy nie wskazaliby palcem klienta w barze, aby zwrócić uwagę przyjaciela na jego modny krawat, zachowują się całkiem inaczej, widząc znaną twarz.

Moje króliki doświadczalne twierdzą, że przed kioskiem z gazetami, w sklepiku z wyrobami tytoniowymi, kiedy wsiadają do pociągu, wchodzą w restauracji do toalety – spotykają osoby, które komunikują sobie głośno: „Widzisz, to właśnie ten a ten”. „Jesteś pewny?”. „Oczywiście, to właśnie on”. I chociaż „ten a ten” wszystko słyszy, mile rozmawiają sobie dalej, jakby on wcale nie istniał.

Są zdezorientowani faktem, że bohater zbiorowej wyobraźni środków przekazu pojawił się nagle w życiu rzeczywistym, ale jednocześnie zachowują się wobec osoby realnej tak, jakby należała jeszcze do świata wyobraźni, jakby tkwiła nadal na ekranie albo na fotografii w czasopiśmie, a oni rozmawiali pod jej nieobecność.

To tak, jakbym złapał Anthony’ego Quinna za kołnierz, wciągnął do budki telefonicznej i zadzwonił do przyjaciela ze słowami: „Co za historia, spotkałem Anthony’ego Quinna, wiesz, że wygląda jak żywy?” (potem zaś odepchnąłbym go i poszedł sobie).

Środki masowego przekazu najpierw przekonały nas, że świat wyobraźni odpowiada rzeczywistości, a obecnie przekonują, że rzeczywistość

odpowiada światu wyobraźni; im więcej rzeczywistości oglądamy na telewizyjnych ekranach, tym bardziej filmowe staje się życie codzienne. Skończy się na tym, że – jak myśleli pewni filozofowie – uznamy, iż jesteśmy sami na świecie, cała reszta zaś to film wyświetlany przez Boga lub jakiegoś złego ducha.

1989

Jak rozpoznać film porno

Nie wiem, czy zdarzyło się wam kiedyś obejrzeć film pornograficzny. Nie myślę o filmach zawierających elementy erotyzmu, chociaż i takie dzieła wielu uznaje za naganne, jak na przykład *Ostatnie tango w Paryżu*. Chodzi mi o filmy pornograficzne, których prawdziwym i jedynym celem jest od początku do końca podniecenie widza. Mają one to podniecenie wywołać, przedstawiając różne i zmienne sposoby spółkowania, a cała reszta w ogóle się nie liczy.

Często o tym, czy film jest czysto pornograficzny, czy też niepozbawiony wartości artystycznych, muszą rozstrzygać sędziowie. Nie należę do ludzi, których zdaniem wartość artystyczna wszystko usprawiedliwia; niekiedy autentyczne dzieła sztuki były dla wiary, obyczajów i rozpowszechnionych poglądów bardziej niebezpieczne niż dzieła mniej znakomite. Uważam również, że kierowanym własną wolą dorosłym przysługuje prawo korzystania z tworzywa pornograficznego, przynajmniej wtedy, gdy nie mają lepszego wyjścia. Zgadzam się jednak, że czasem sąd musi ustalić, czy dany film wyprodukowano w celu wyrażenia pewnych koncepcji lub ideałów estetycznych (chociaż za pośrednictwem scen sprzecznych z ogólnie przyjętym poczuciem wstydu), czy też jego wyłącznym i jedynym celem było rozbudzenie instynktów widza.

Otóż istnieje kryterium pozwalające stwierdzić, czy film jest pornograficzny; opiera się ono na sumowaniu przerw we właściwej akcji. Akcja *Dyliżansu*, wielkiego, ponadczasowego arcydzieła kinematografii, toczy się przez cały czas (poza początkiem, kilkoma krótkimi wtrętami i zakończeniem) w zamkniętym powozie; ale bez tej podróży film nie miałby sensu. *Przygoda* Antonioniego składa się wyłącznie z przerw w akcji: ludzie przychodzą, odchodzą, mówią, gubią się i odnajdują, ale w ogóle nic się nie zdarza. Film chce nam jednak to właśnie powiedzieć:

nic się nie zdarza. Może to nam się podobać albo nie, lecz dokładnie taki jest jego przekaz.

Natomiast film pornograficzny, który ma uzasadnić nabycie biletu wstępu lub wideokasety, mówi nam, że pewne postaci uprawiają seks: mężczyźni z kobietami, mężczyźni z mężczyznami, kobiety z kobietami, kobiety z psami albo z końmi (zwracam uwagę na fakt, że brak filmów pornograficznych, w których mężczyźni spółkowaliby z kobyłami lub sukami; dlaczego?). Z tym można by jeszcze się pogodzić – ale pełno w nim przerw we właściwej akcji.

Jeżeli Gilberto, aby zgwałcić Gilbertę, musi pojechać z placu Cordusio na corso Buenos Aires, na ekranie oglądamy, jak przemierza samochodem całą tę trasę, zatrzymując się na każdym czerwonym świetle.

W filmach pornograficznych występuje masa osób, które wsiadają do samochodu i pokonują dziesiątki kilometrów, par tracących niewiarygodnie dużo czasu na zarejestrowanie się w hotelu, panów spędzających długie minuty w windzie, zanim wejdą do pokoju, dziewcząt sączących różne drinki i bawiących się bluzeczkami i koronkami, dopóki nie wyznają sobie wzajemnie, że wolą Safonę od Don Juana. W słowach prostych i dość wulgarnych: film pornograficzny pokaże nam scenę zdrowego spółkowania dopiero wtedy, gdy przełkniemy już reklamy wydziału komunikacji miejskiej.

Przyczyny tego są oczywiste. Film, w którym Gilberto bez ustanku gwałciłby Gilbertę, z przodu, z tyłu i z boku, byłby nie do zniesienia. Fizycznie dla aktorów, finansowo dla producenta. Byłby nie do zniesienia także psychologicznie dla widza, ponieważ transgresja, aby osiągnąć skutek, musi zachodzić na tle zwyczajności. Przedstawienie zwyczajności to dla każdego artysty jedno z najtrudniejszych zadań, bardzo łatwo zaś jest przedstawiać zboczenia, zbrodnie, gwałty i tortury.

Dlatego film pornograficzny musi pokazywać zwyczajność – jest to niezbędne, aby zainteresowanie mogła wzbudzić transgresja – w sposób, w jaki każdy widz ją pojmuje. Dlatego jeśli Gilberto ma jechać autobusem

z A do B, zobaczymy Gilberta wsiadającego do autobusu i autobus jadący z A do B.

Drażni to często widzów, którzy chcieliby oglądać same sceny nienadające się do opisania. Łudzą się oni jednak; nie znieśliby półtorej godziny scen nienadających się do opisania. Przerwy w akcji właściwej są zatem konieczne.

Powtarzam więc. Weszliście do sali kinowej. Jeżeli postaci przemieszczające się z A do B potrzebują na to więcej czasu, niżbyście sobie życzyli, oglądacie film pornograficzny.

1989

Jak jeść lody

Kiedy byłem mały, dzieciom kupowano z białych wózków z posrebrzaną pokrywą lody porcjowane na dwa sposoby: rożek za dwa soldy albo wafel za cztery. Rożek za dwa soldy był malutki, pasował dokładnie do dziecięcej rączki; napełniało się go, wydobywając lody z pojemnika służącą do tego łopatką. Babcia radziła zawsze, żeby zjadać tylko górną część rożka i wyrzucać spiczasty koniec, ponieważ brał go do ręki lodziarz (a przecież właśnie ta część była najlepsza i najbardziej chrupka, więc zjadało się ją po kryjomu, udając, że została wyrzucona).

Lody za cztery soldy przygotowywano w specjalnej maszynce, także posrebrzanej, która dwoma okrągłymi płatami wafla ściskała zimny krążek. Żeby dosięgnąć umieszczonych w środku lodów, wsuwało się język w szczelinę, a później zjadało się już wszystko, bo wafel miękł, nasiąkając słodkim płynem. Babcia nie musiała niczego doradzać: w teorii wafle stykały się tylko z maszynką, w praktyce lodziarz brał je do ręki, aby tam włożyć, ale wyznaczenie miejsca zainfekowanego nie było możliwe.

Mnie jednak fascynowali ci moi rówieśnicy, którym rodzice kupowali nie jedną porcję za cztery soldy, tylko dwa rożki po dwa soldy. Szczęśliwcy kroczyli potem dumnie z jednym lodem w prawej, drugim w lewej ręce, i obracając zręcznie głowę, lizali raz jeden, raz drugi. Obrządek taki wydawał mi się wspaniały i godny pozazdroszczenia, prosiłem więc nieraz, aby pozwolono mi go odprawić. Na próżno. Moja rodzina była nieugięta: jedna porcja za cztery soldy – tak, dwie po dwa soldy – w żadnym wypadku.

Dla wszystkich jest jasne, że ani matematyka, ani ekonomia, ani dietetyka tej odmowy nie usprawiedliwiały. Nawet higiena, zakładając, że po konsumpcji wyrzucało się końce obu rożków. Wysuwano żałosny i naprawdę kłamliwy argument, że chłopiec zajęty przenoszeniem wzroku

z jednego loda na drugi może łatwiej potknąć się o jakiś kamień, schodek lub coś wystającego z bruku. Wyczuwałem niejasno, że w grę wchodzić musi inny powód o nieubłaganie pedagogicznym charakterze, którego jednak nie umiałem odgadnąć.

Obecnie jako użytkownik, a zarazem ofiara cywilizacji konsumpcyjnej i marnotrawiącej dobra (nie była nią cywilizacja lat trzydziestych) rozumiem, że ci drodzy mi zmarli mieli rację. Dwie porcje lodów po dwa soldy zamiast jednej za cztery nie były marnotrawstwem z punktu widzenia ekonomii, lecz z pewnością były nim symbolicznie. Dlatego właśnie tak ich pożądałem – dwa lody oznaczały zbytek. I dlatego właśnie mi ich odmawiano. Wydawały się czymś nieprzyzwoitym, zniewagą ubóstwa, demonstrowaniem urojonych przywilejów, przechwalaniem się fikcyjnym dostatkiem. Dwie porcje lodów naraz jadły tylko dzieci rozpuszczone, takie, które w bajkach spotyka zasłużona kara, jak Pinokia, kiedy wzgardził skórką i ogryzkiem. Rodzice popierający tę słabość małych parweniuszy wychowywali dzieci w duchu głupiego teatru „chciałbym – ale – nie – mogę”, to jest przygotowywali je – powiedzielibyśmy dzisiaj – do zgłaszania się na lotnisku do odprawy klasy turystycznej z imitacją torby marki Gucci, kupioną od wędrownego handlarza na plaży w Rimini.

Niniejsza przypowieść może wydać się pozbawiona morału w świecie, w którym cywilizacja konsumpcyjna rozpieszcza także dorosłych, obiecując im nieustannie coś więcej, od zegareczka wbudowanego w kolumienkę do wisiorka będącego upominkiem dla nabywcy czasopisma. Podobnie jak rodzice owych oburęcznych łakomczuchów, którym tak zazdrościłem, cywilizacja konsumpcyjna pozoruje, że daje więcej, lecz w rzeczywistości daje za cztery soldy to, co cztery soldy jest warte. Wyrzucacie stary tranzystor i kupujecie nowy, który zgodnie z reklamą ma autorewers, ale jakieś niepojęte słabości jego wewnętrznej struktury sprawiają, że przetrwa zaledwie rok. Nowy samochód małolitrażowy ma siedzenia obite skórą, dwa lusterka boczne nastawiane z wewnątrz, drewnianą tablicę rozdzielczą, ale okaże się o wiele mniej odporny niż

sławne cinquecento, które w razie awarii można było uruchomić kopnięciem.

Jednakże w tamtych czasach moralność wymagała, abyśmy byli spartanami, dzisiaj zaś chce, abyśmy byli sybarytami.

1989

Jak nie mówić „dokładnie”

Wre bitwa przeciwko stereotypom zalewającym potoczny język włoski. Jednym z nich jest, jak wiadomo, *esatto* – „dokładnie”. Wszyscy teraz mówią „dokładnie”, gdy chcą wyrazić aprobatę. Do używania tego słówka zachęciły pierwsze quizy telewizyjne, w których tak właśnie tłumaczono bezpośrednio z amerykańskiego *that’s right* albo *that’s correct* padające po trafnej odpowiedzi. A więc w mówieniu *esatto* nie ma zasadniczo nic niewłaściwego; osoba robiąca to dowodzi tylko, że włoskiego nauczyła się wyłącznie z telewizji. Podobnie postępuje ktoś, kto na dobrze widocznym miejscu w swoim salonie umieszcza encyklopedię, którą – o czym wszyscy wiedzą – dostaje się w nagrodę za kupno proszku do prania.

Żeby pomóc ludziom pragnącym uwolnić się od tego przyzwyczajenia, podaję niżej listę pytań lub stwierdzeń, na które odpowiada się z reguły słówkiem „dokładnie”, i umieszczam w nawiasie propozycje odpowiedzi, których można użyć w jego zastępstwie.

Napoleon zmarł piątego maja 1821 roku. (Doskonale!). Przepraszam, czy to plac Garibaldiego? (Tak). Halo, czy mówię z Mariem Rossim? (Przepraszam, a kto mówi?). Halo, tu Mario Bianchi, czy mówię z Mariem Rossim? (To ja, słucham pana). Więc jestem panu jeszcze winny dziesięć tysięcy lirów? (Tak, dziesięć tysięcy). Co pan powiedział, panie doktorze, AIDS? (No tak, przykro mi). Dzwoni pan do programu *Ktokolwiek widział*, by zawiadomić, że spotkał pan zaginionego? (Jak pan to odgadł?) Tu policja: czy pan Rossi? (Carla, dawaj walizeczkę!) Więc ty nie nosisz majtek? (Nareszcie to zauważyłeś!) Chce pan dziesięć miliardów okupu? (A skąd wezmę na telefon w samochodzie?) Jeśli dobrze zrozumiałem, podpisałeś czek bez pokrycia na dziesięć miliardów, podając mnie jako gwaranta? (Podziwiam twoją przenikliwość). Już po odprawie pasażerów?

(Widzi pan ten punkcik na niebie?) Mówi pan więc, że jestem świnią! (Trafił pan w sedno).

Reasumując – powiecie – radzi nam pan nigdy nie mówić „dokładnie”.

Dokładnie.

1990

Jak strzec się wdów

Drodzy pisarze i drogie pisarki, być może przyszłe pokolenia nie obchodzą was w ogóle, choć nie sądzę. Każdy, nawet szesnastolatek układający wiersz o szumiącym borze albo autor prowadzonego do końca życia dziennika z wpisami w rodzaju „byłem dziś u dentysty”, ma nadzieję, że potomność go doceni. A jeśli przypadkiem pragnie popaść w zapomnienie, dzisiejsi wydawcy celują w odkrywaniu zapomnianych twórców pomniejszych – również i takich, którzy nie napisali nigdy ani jednej linijki.

Potomni są, jak wiadomo, nienasyceni i niewybredni. Byleby tylko coś opublikować, zadowolą się jakimkolwiek tekstem innych. Powinniście zatem, o piszący, zabezpieczyć się przed potomnymi, którzy wasz dorobek zechcą być może wykorzystać. Najlepiej byłoby, rzecz jasna, zostawiać tylko to, co za życia postanowiliście opublikować, i niszczyć dzień po dniu wszelkie inne teksty, z trzecią korektą włącznie. Wiadomo jednak, że notatki potrzebne są w pracy, a śmierć może nadejść niespodziewanie.

Z podobnym przypadkiem wiąże się przede wszystkim ryzyko, że ogłoszone drukiem inedita będą świadczyć o waszej całkowitej głupocie. Dość przeczytać na kartkach własne zapiski z poprzedniego dnia, aby się przekonać, że ryzyko takie jest bardzo duże (także i dlatego, że notatki są przeważnie wyrwane z kontekstu).

Z kolei brak notatek stwarza inne niebezpieczeństwo: natychmiast post mortem zaczną się mnożyć zjazdy poświęcone waszemu dziełu. Każdy pisarz chciałby być uwieczniony w esejach, pracach doktorskich, wydaniach krytycznych, lecz są to przedsięwzięcia wymagające czasu i zachodu. Zjazd organizowany bezzwłocznie ma wynik następujący: zbiega się tłum przyjaciół, wielbicieli, pragnących się wybić młodzieńców, wszyscy płodzą referaty na podstawie kilku ponownie odczytanych

w pośpiechu tekstów – jak wiadomo, w takich sytuacjach odgrzewa się serwowane już dania – i utrwalają stereotypy. I tak wkrótce czytelnicy odwrócą się od pisarza, którego twórczość przedstawia się w równie przewidywalny sposób.

Trzecie niebezpieczeństwo to publikacja korespondencji prywatnej. Pisarze rzadko pisują listy prywatne inaczej niż zwykli śmiertelnicy – chyba że udają jak Foscolo. Mogą więc napisać: „Przyślij mi środek przeczyszczający” albo „Kocham Cię jak szalony (szalona) i dziękuję Ci, że jesteś”. Nie ma w tym nic zdrożnego ani niezwykłego, żałosne jest natomiast to, że potomni szukają podobnych świadectw w celu stwierdzenia, iż pisarz lub pisarka byli istotami ludzkimi. A czym mieli być – może flamingami?

Jak uniknąć takich nieprzyjemnych wydarzeń? Co się tyczy rękopisów, radziłbym je ukryć w jakimś trudnym do odnalezienia miejscu, zostawiając w szufladach coś w rodzaju mapy dla poszukiwaczy skarbów, która potwierdza istnienie cennego przedmiotu, lecz wyposażona jest w niedające się odcyfrować wskazówki. Uzyskałoby się w ten sposób podwójny rezultat: rękopisy pozostałyby w ukryciu i powstałoby wiele rozpraw doktorskich poświęconych zagadkowej tajemniczości owej mapy.

Co się tyczy zjazdów, pożyteczne może się okazać zostawienie dokładnych dyspozycji testamentowych, w których zażądamy w imieniu Ludzkości, aby za każdy zjazd odbywający się przed upływem dziesięciu lat od naszego zgonu organizatorzy wpłacali dwadzieścia miliardów na rzecz UNICEF-u. Tyle pieniędzy zgromadzić niełatwo, a trzeba rzadkiej bezczelności, aby zlekceważyć testamentowe zlecenie.

Bardziej skomplikowany jest problem listów miłosnych. Do tych, które mamy jeszcze napisać, radzę używać komputera, bo to uniemożliwi pracę grafologom, oraz czułych pseudonimów („twój Kotek, Bączek, Łasiczka”) różnych dla każdego partnera; autorstwo będzie wtedy budzić wątpliwości. Warto także wtrącać uwagi, które – choć wyrażają wielką namiętność – mogłyby się okazać kłopotliwe dla adresatów (jak na przykład „kocham

nawet twoje częste popierdywanie”) i skłonić ich do zrezygnowania z publikacji.

Nie sposób natomiast skorygować tego, co już się napisało, zwłaszcza w latach wczesnej młodości. W takich przypadkach należałoby odszukać adresatów i wystosować do nich pismo, wspominając spokojnym tonem, pogodnie, owe niezatarte w pamięci dni oraz obiecując, że pozostaną one niezatarte tak dalece, iż piszący nawet po śmierci będzie odwiedzał adresatów, aby ta pamięć nigdy nie wygasła. Skutek nie jest zapewniony, ale duch to zawsze duch, adresaci spokojnie spać nie będą.

Można również prowadzić fikcyjny dziennik, insynuując w nim od czasu do czasu, że przyjaciele i przyjaciółki są skłonni do kłamstw i fałszerstwa: „Jakąż uroczą kłamczuchą jest Adelajda” albo „Gualtiero pokazał mi dzisiaj sfałszowany list Pessoi[16], rzeczywiście godny podziwu”.

1990

Jak nie rozmawiać o piłce nożnej

Nie mam nic przeciwko piłce nożnej. Na stadiony nie chodzę z tego samego powodu, z którego nie poszedłbym nocować w podziemiach mediolańskiego Dworca Centralnego (albo spacerować w nowojorskim Central Parku po szóstej po południu). Zdarza mi się obejrzeć z zainteresowaniem i przyjemnością ładny mecz w telewizji, ponieważ znam i doceniam wszystkie zalety tej szlachetnej gry. Nie nienawidzę piłki nożnej. Nienawidzę jej namiętnych entuzjastów.

Nie chciałbym jednak być źle zrozumiany. W stosunku do kibiców żywię te same uczucia, jakie Liga Lombardzka[17] żywi wobec ludzi spoza wspólnoty europejskiej: „Nie jestem rasistą, dopóki siedzą u siebie w domu”. To „u siebie w domu” oznacza w moim pojęciu miejsca, gdzie kibice lubią się zbierać w ciągu tygodnia (bar, krąg rodzinny, klub), oraz stadiony, no i niech sobie przyjeżdżają ci z Liverpoolu, później mam rozrywkę przy lekturze prasy: jeśli *circenses* muszą już być, to nie bez rozlewu krwi.

Nie lubię kibica, gdyż ma on dziwny rys charakteru: nie rozumie, dlaczego ty kibicem nie jesteś, i stara się uporczywie rozmawiać z tobą tak, jakbyś nim był. Aby rzecz lepiej wyjaśnić, podaję przykład. Gram na flecie prostym (coraz gorzej, jak stwierdził publicznie Luciano Berio[18]; fakt, że przysłuchują mi się uważnie Wielcy Mistrzowie, daje mi dużą satysfakcję). Przypuśćmy teraz, że jadę pociągiem i aby nawiązać rozmowę z siedzącym naprzeciwko pasażerem, pytam:

– Czy słuchał pan ostatniego kompaktu Fransa Brüggena?

– Co, czego?

– Mówię o *Pavane lachryme*. Moim zdaniem zwalnia zbytnio na początku.

– Przepraszam, nie zrozumiałem.

– Przecież to van Eyck! (wyraźnie, oddzielając sylaby) *Blockflöte*.

– Proszę pana, ja... gra się smyczkiem?

– Ach, rozumiem, pan nie...

– Ja nie.

– Ciekawe. A wie pan, że aby mieć ręcznie wykonanego coolsmę, trzeba czekać trzy lata? Lepiej już kupić hebanowego moecka. Jest najlepszy, przynajmniej z tych, które są w sprzedaży. Powiedział mi tak sam Gazzelloni. Czy pan dociera do piątej wariacji *Derde Doen Daphne d'over*?

– Ja jadę do Parmy...

– Aha, rozumiem, pan gra w tonacji F, nie w C. To daje większą satysfakcję. Wie pan, odkryłem sonatę Loeilleta, która...

– Leje co?

– Chciałbym usłyszeć, jak pan gra fantazje Telemanna. Radzi pan sobie? Nie stosuje pan przypadkiem palcowania niemieckiego?

– No tak, Niemcy, bmw to doskonały samochód, mam dla nich dużo szacunku, ale...

– Rozumiem, stosuje pan palcowanie barokowe. Słusznie. Proszę pana, ci z Saint Martin in the Fields...

Wytłumaczyłem chyba, o co mi chodzi. Jeśli mój nieszczęsny towarzysz podróży pociągnie za hamulec bezpieczeństwa, przyznacie mu rację. Ale tak samo jest właśnie z kibicem. Sytuacja staje się szczególnie trudna w przypadku rozmowy z taksówkarzem.

– Widział pan Viallego?

– Nie, widocznie przyszedł, kiedy mnie nie było.

– Obejrzy pan wieczorem mecz?

– Nie, muszę zająć się księgą zeta *Metafizyki*, wie pan, Stagiryta...

– Dobrze, niech pan obejrzy, a potem sam powie. Dla mnie van Basten mógłby być Maradoną lat dziewięćdziesiątych, jak pan myśli? Ale ja przyglądałbym się też uważnie Hagiemu.

I tak dalej, jakby mówić do ściany. Rzecz nie w tym, że jego nie obchodzi zupełnie, czy mnie obchodzi. On po prostu nie potrafi pojąć, że kogoś może to nie obchodzić. Nie pojąłby tego nawet wtedy, gdybym miał troje oczu i parę czułków na pokrytym zielonymi łuskami karku. Nie zdaje sobie sprawy z różnorodności, odmienności i nieporównywalności możliwych światów.

Podałem przykład taksówkarza, ale sprawa przedstawiałaby się dokładnie tak samo, gdyby rozmówca należał do klasy panującej. To jak choroba wrzodowa, cierpią na nią zarówno biedni, jak i bogaci. Osobliwy jest jednak fakt, że istoty tak niezachwianie przekonane o równości wszystkich ludzi gotowe są rozbijać głowy kibicom pochodzącym z sąsiedniej prowincji. Ten ekumeniczny szowinizm sprawia, że wyję z zachwytu. To jakby ci z Ligi powiedzieli: „Pozwólcie Afrykanom do nas przyjeżdżać. Będziemy potem mogli ich wygrzmocić”.

1990

Jak usprawiedliwić posiadanie domowej biblioteki

Od najmłodszych lat byłem zwykle narażony na dwa (i tylko dwa) rodzaje uwag: „Ty (pan) masz (ma) zawsze gotową odpowiedź” i „Twoje (pańskie) słowa rozbrzmiewają po dolinach”. Przez całe dzieciństwo uważałem, że skutkiem osobliwego zbiegu okoliczności wszystkie poznawane przeze mnie osoby są głupie. Później, w starszym już wieku, musiałem się przekonać, że istnieją dwa prawa, którym podlega każda istota ludzka: najpierw przychodzi ci do głowy myśl najbardziej oczywista, oraz: kiedy ta oczywista myśl przyszła ci już do głowy, nie wierzysz, że innym ta sama myśl mogła przyjść wcześniej.

Mam cały zbiór tytułów recenzji w każdym języku wywodzącym się z pnia indoeuropejskiego: sięgają od *Echo Eca* do *Ta książka odbije się szerokim echem*. Podejrzewam jednak, że w tym ostatnim przypadku nie taka była pierwsza myśl, jaka przyszła redaktorowi do głowy. Nie – zebrała się redakcja, przedyskutowano około dwudziestu możliwych tytułów; wreszcie naczelny rozpromienił się na twarzy i zawołał: „Chłopcy, mam fantastyczny pomysł!”. A współpracownicy: „Szefie, jesteś niesamowity! Skąd ty je wszystkie bierzesz?”. „To dar opatrzności” – odpowiedział zapewne.

Nie chcę przez to powiedzieć, że ludzie są banalni. Branie czegoś oczywistego za nowe, wymyślone dzięki boskiemu objawieniu, świadczy o pewnej świeżości umysłu, o entuzjazmie wobec życia i jego nieprzewidywalności, o zamiłowaniu do najprostszych choćby pomysłów. Nigdy nie zapomnę swojego pierwszego spotkania z wielkim człowiekiem, jakim był Erving Goffman[19]. Podziwiałem go i kochałem za geniusz i głębię myśli pozwalające mu dostrzegać i opisywać najbardziej subtelne odcienie zachowań społecznych, za zdolność odkrywania najdrobniejszych cech, które uchodziły uwagi innych. Siedzieliśmy przy stoliku przed

kawiarnią, a on popatrzył na ulicę i po chwili powiedział: „Wiesz, sądzę, że w miastach jest już zbyt dużo samochodów”. Może nigdy jeszcze o tym nie pomyślał, zajmował się przecież o wiele ważniejszymi sprawami; doznał nagle olśnienia i dzięki świeżości swojego umysłu ubrał je w słowa. Ja – mały snob zatruty lekturą *Niewczesnych rozważań* Nietzschego – nie zdobyłbym się na to, choć sądzę całkiem podobnie.

Inny szok spowodowany oczywistością zdarza się wielu ludziom w mojej sytuacji, a więc tym, którzy mają sporą bibliotekę – tak dużą, że gdy wchodzi się do mieszkania, nie sposób nie zwrócić na nią uwagi, także i z tego powodu, że nie ma tam nic innego. Gość wchodzi i mówi: „Ile książek! Przeczytał pan je wszystkie?”. Początkowo myślałem, że ta wypowiedź charakteryzuje osoby mało oswojone z książkami, przyzwyczajone widzieć półeczkę z pięcioma kryminałami i zeszytami encyklopedii dla młodzieży. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że powyższe zdania wypowiadają także ludzie stojący ponad wszelkim podejrzeniem. Można by powiedzieć, że chodzi o osoby, dla których regał jest miejscem na książki przeczytane i które nie pojmują biblioteki jako narzędzia pracy – ale to nie wystarcza. Uważam, że na widok wielkiej liczby książek każdego ogarnia dręczące pragnienie wiedzy i wtedy wymyka mu się z ust pytanie wyrażające niepokój i wyrzuty sumienia.

Rzecz w tym, że na słowa „Masz zawsze gotową odpowiedź” wystarczy zareagować uśmieszkiem lub co najwyżej, żeby być uprzejmym, oświadczyć: „A to dobre!”. Natomiast na pytanie o książki trzeba odpowiedzieć, kiedy zaciskają się szczęki, a zimny pot ścieka wzdłuż kręgosłupa. Ja stosowałem kiedyś replikę wzgardliwą: „Nie przeczytałem żadnej, inaczej po co miałbym je tu trzymać?”. Ale jest to odpowiedź niebezpieczna, powoduje bowiem oczywistą reakcję: „No a gdzie trzyma pan te już przeczytane?”. Lepiej udzielić odpowiedzi standardowej Roberta Leydiego[20]: „Przeczytałem wiele, wiele więcej, proszę pana”; mrozi ona przeciwnika i wprawia go w stan osłupiającego uwielbienia. Uważam jednak, że jest bezlitosna i może wywołać lęk. Teraz oznajmiam tylko: „Nie, te mam przeczytać przez najbliższy miesiąc, resztę trzymam na

uniwersytecie”. Odpowiedź taka z jednej strony sugeruje wspaniałą strategię ergonomiczną, a z drugiej sprawia, że gość przyspieszy chwilę pożegnania.

1990

Jak nie używać telefonu komórkowego

Łatwo jest ironizować na temat posiadaczy telefonu komórkowego. Trzeba jednak ustalić, do której z wymienionych poniżej pięciu kategorii należą. Pierwsza to ludzie z niezauważalnym czasami upośledzeniem, zmuszeni utrzymywać stały kontakt z lekarzem lub pogotowiem ratunkowym; chwała postępowi technicznemu za oddanie im do dyspozycji tak dobroczynnego aparatu. Druga to ci, którzy ze względu na ważne obowiązki zawodowe muszą stawić się na każde wezwanie (dowódcy straży pożarnej, lekarze rejonowi, specjaliści od przeszczepów oczekujący na świeże zwłoki oraz Bush, bo jeśli jego zabraknie, świat wpadnie w ręce Quayle'a); komórka to dla nich twarda konieczność i żadnej radości im nie sprawia. Kategorię trzecią stanowią cudzołożnicy. Dopiero teraz, po raz pierwszy w dziejach, mają oni możliwość otrzymywania wiadomości od tajnego partnera w taki sposób, że członkowie rodziny, sekretarki i złośliwi koledzy nie są w stanie podsłuchać rozmowy. Wystarczy, żeby numer znali tylko ona i on (albo on i on, ona i ona; innych możliwych kombinacji nie potrafię podać).

Wszystkie trzy wymienione wyżej kategorie mają prawo do naszego szacunku. Co się tyczy dwóch pierwszych, gotowi jesteśmy znieść zakłócenie spokoju w restauracji lub na pogrzebie, cudzołożnicy zaś są zazwyczaj bardzo dyskretni.

Natomiast pozostałe dwie kategorie są grupami podwyższonego ryzyka (również dla siebie, nie tylko dla nas). Pierwsza to ludzie nieumiejący ruszyć się z miejsca, jeśli nie mogą paplać o błahostkach z przyjaciółmi lub krewnymi, z którymi przed chwilą się pożegnali. Trudno byłoby im wytłumaczyć, dlaczego nie powinni tak postępować. Nie są w stanie opanować dążenia do kontaktu z innymi, cieszyć się chwilami samotności, interesować się tym, co w danej chwili robią, rozkoszować się oddaleniem

po delektowaniu się bliskością, muszą demonstrować swoją wewnętrzną pustkę, czyniąc z niej wręcz własny emblemat i sztandar; skoro tak jest, ich problemem powinien zająć się psycholog. Przeszkadzają nam, ale musimy zrozumieć ich straszliwą wewnętrzną jałowość, dziękować Bogu, że nie jesteśmy nimi, i wybaczać (nie wolno nam dać się opanować szatańskiej radości, że tacy nie jesteśmy, byłby to bowiem przejaw pychy i braku miłosierdzia). Uznajmy w nich swoich bliźnich i nadstawmy drugie ucho.

Do ostatniej kategorii zaliczają się – oprócz stojących na najniższym szczeblu drabiny społecznej nabywców atrap komórek – osoby pragnące publicznie dowieść, że są bardzo potrzebne innym, zwłaszcza ze względu na prowadzone interesy. Rozmowy, których musimy wysłuchiwać na lotniskach, w restauracjach i pociągach, prawie zawsze dotyczą transakcji finansowych, opóźnień w dostawie profilowanych wyrobów żelaznych, przyspieszenia wyprzedaży partii krawatów oraz innych spraw, które w intencji mówiącego upodobniają go do Rockefellera.

Otóż mechanizm podziału klasowego okazuje się okrutny. Zarabiający ogromne sumy nowobogacki wskutek ciążącego na nim proletariackiego piętna nie umie posługiwać się sztućcami do ryb, zawiesza małpkę na tylnym oknie swojego ferrari, świętego Krzysztofa na tablicy rozdzielczej prywatnego odrzutowca i wymawia *manágment* zamiast *mánagment*. Nie zaprasza go więc księżna de Guermantes (a jego dręczy pytanie dlaczego, skoro posiada jacht tak długi, że sięga jak most od brzegu do brzegu).

Tacy ludzie nie wiedzą, że Rockefeller nie potrzebuje komórki, bo ma sekretariat tak duży i sprawny, że tylko w najgorszym wypadku, kiedy umiera jego dziadek, pojawia się kierowca i szepce mu coś do ucha. Człowiek prawdziwie potężny nie musi odpowiadać na każdy telefon, wręcz przeciwnie – jak zwykło się mawiać, często bywa niedostępny. Nawet na niskim poziomie zarządzania za symbole sukcesu uchodzą klucz od własnej toalety i sekretarka mówiąca: „Szef przed chwilą wyszedł”.

I tak ten, kto popisuje się swoim telefonem komórkowym jako emblematem władzy, w rzeczywistości ujawnia wszystkim swoją rozpaczliwie podrzędną pozycję. Musi przecież stawać na baczność – nawet

jeśli leżał w łóżku z kobietą – za każdym razem, gdy zadzwoni pełnomocnik zarządu; aby zarobić na życie, jest skazany na ściganie dniem i nocą dłużników; z powodu jakiegoś czeku bez pokrycia bank prześladuje go nawet podczas pierwszej komunii córki. Fakt ostentacyjnego posługiwania się komórką świadczy jednak, że o tym wszystkim nie wie – co dowodzi jego bezapelacyjnej marginalizacji w społeczeństwie.

1991

Jak podróżować amerykańskimi pociągami

Można podróżować samolotem, cierpiąc na chorobę wrzodową, świerzb, kolano praczki, łokieć tenisisty, ognie świętego Antoniego, AIDS, galopujące suchoty i trąd. Ale nie na przeziębienie. Każdy, kto tego doświadczył, wie, że kiedy samolot opada nagle z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, czuje się ból w uszach, głowa niemal pęka, pięści same walą w okienko, bo chciałoby się wysiąść nawet bez spadochronu. Chociaż to wszystko było mi znane, zaopatrzyłem się w krople do nosa o piorunującym działaniu i poleciałem przeziębiony do Nowego Jorku. Sprawa źle się skończyła. Po opuszczeniu samolotu wydało mi się, że zszedłem na dno Rowu Filipińskiego; widziałem ludzi otwierających usta, lecz nie słyszałem żadnego dźwięku. Lekarz wytłumaczył mi później na migi, że dostałem zapalenia bębenków. Nafaszerował mnie antybiotykami i surowo zabronił latać przez dwadzieścia dni. Żeby więc odwiedzić trzy różne miejscowości na Wschodnim Wybrzeżu, wsiadłem do pociągu.

Koleje amerykańskie są obrazem tego, czym mógłby być świat po wojnie atomowej. Pociągi wprawdzie wyjeżdżają, ale często nie dojeżdżają, psują się po drodze, z powodu sześciogodzinnych opóźnień każą na siebie czekać na ogromnych, lodowatych i pustych dworcach, gdzie nie ma barów, są za to różne podejrzane typy, a podziemne przejścia przypominają nowojorskie metro z *Powrotu na planetę małp*. Linia Nowy Jork–Waszyngton, którą podróżują dziennikarze i senatorowie, przynajmniej w pierwszej klasie zapewnia komfort jak w samolotowej business class wraz z ciepłym posiłkiem na poziomie studenckiej stołówki. Ale na innych trasach wagony są brudne, siedzenia z imitacji skóry poprute, a jedzenie w bufecie takie, że człowiek tęskni (powiecie, że przesadzam) za przetworzonymi trocinami, które wmusza się podróżnym w pendolino relacji Rzym–Mediolan.

Oglądamy kolorowe filmy o bestialskich zbrodniach popełnianych w luksusowych wagonach sypialnych, w których przepięknym białym kobietom szampana podają czarni kelnerzy wyjęci jakby z *Przeminęło z wiatrem*. To nieprawda.

W rzeczywistości amerykańskimi pociągami jeżdżą czarni pasażerowie wyjęci jakby z *Nocy żywych trupów*, a biali konduktorzy przechodzą korytarzami pełni obrzydzenia, potykając się o puszki po coca-coli, porzucony bagaż, strony gazet przesiąknięte pastą z tuńczyka wyciśniętą z kanapki przy otwieraniu plastikowego opakowania, które parzy palce, bo zostało napromieniowane w kuchence mikrofalowej, jakże szkodliwej dla naszych zasobów genetycznych.

Pociąg w Ameryce to nie kwestia wyboru. To kara za zignorowanie tego, co Weber napisał o etyce protestanckiej i duchu kapitalizmu – za to, że jest się biednym. Jednak najnowszym hasłem głoszonym przez liberałów jest *political correctness* (PC: język nie powinien sygnalizować różnic). Konduktorzy są więc nadzwyczaj uprzejmi nawet wobec najgorszego kloszarda (oczywiście powinienem był napisać „człowieka, który unika pospolitego golenia się"). Po Pennsylvania Station krążą też „nieodjeżdżający", spoglądając ukradkiem na bagaż innych. Ale świeże są jeszcze w pamięci polemiki na temat brutalności policji w Los Angeles, a Nowy Jork to miasto PC. Do domniemanego włóczęgi prawdopodobnie irlandzkiego pochodzenia zbliża się policjant i pyta z uśmiechem, dlaczego się tutaj znalazł. Ten powołuje się na prawa człowieka, policjant anielskim tonem zauważa, że na zewnątrz jest piękna pogoda, i oddala się, poruszając lekko (nie wymachując) długą pałką.

Ale poza tym wielu biednych, nie umiejąc uwolnić się nawet od podstawowego symbolu społecznej marginalizacji, pali papierosy. Wsiadając do jedynego wagonu dla palących, trafiacie nagle do *Opery za trzy grosze*. Krawat nosiłem ja jeden. Reszta pasażerów składała się z katatonicznych *freaks*, *tramps* rzężących we śnie szeroko otwartymi ustami, *zombies* w stanie przedagonalnym. Wagon dla palących był ostatni

w składzie, toteż zanim to zbiorowisko wyrzutków dotarło do celu, musiało przejść ze sto metrów po peronie krokiem Jerry’ego Lewisa.

Po wyrwaniu się z kolejowego piekła, przebrany w nieskażoną odzież, zasiadłem do kolacji w zarezerwowanej salce Faculty Club wśród dobrze ubranych i wyrażających się jak ludzie wykształceni profesorów. Pod koniec spytałem, czy mógłbym pójść gdzieś zapalić. Chwila milczenia, zakłopotane uśmiechy. Potem ktoś zamknął drzwi, jedna z pań wyjęła z torebki paczkę papierosów, inni zaopatrzyli się u mnie. Porozumiewawcze spojrzenia, zduszone chichoty, jak na mrocznej widowni podczas striptizu. Dziesięć minut rozkosznej, zabarwionej podekscytowaniem transgresji. Byłem Lucyferem, przybywałem ze świata ciemności i oświecałem ich pochodnią grzechu.

1991

Jak wybrać sobie popłatny zawód

Istnieją dobrze płatne zawody, na które jest wielkie zapotrzebowanie. Należy jednak odpowiednio się do nich przygotować.

Na przykład zawód miejskiego ustawiacza znaków powiadamiających o autostradzie. Ich celem jest rozładowanie ruchu nie tylko w śródmieściu, ale i na samej autostradzie; wiemy o tym, jeżeli choćby tylko raz im zawierzyliśmy i trafiliśmy w efekcie, całkowicie wyczerpani, na najbardziej niebezpieczną ślepą uliczkę fabrycznego osiedla na peryferiach. Umieszczanie znaków we właściwych miejscach nie jest wszakże łatwe. Komuś głupiemu mogłoby przyjść do głowy, aby ustawić je tam, gdzie w skomplikowany sposób krzyżują się ze sobą drogi i gdzie kierowca prawdopodobnie traci orientację. Znaki trzeba natomiast umieścić jedynie tam, gdzie droga jest prosta i gdzie kierowca instynktownie wybiera właśnie ją; chodzi więc o to, by skierować go w inną stronę. Żeby należycie wykonywać ten zawód, niezbędna jest znajomość urbanistyki, psychologii i teorii gier.

Bardzo poszukiwani są również ludzie, których praca polega na redagowaniu instrukcji obsługi artykułów gospodarstwa domowego i aparatury elektronicznej. Głównym celem tych instrukcji jest uniemożliwić instalację, ale nie są one wzorowane na dołączanych do komputerów ogromnych podręcznikach, które wprawdzie osiągają ów cel, ale zbyt wiele producenta kosztują. Prawdziwy wzór to ulotki dołączane do wyrobów farmaceutycznych; produkty owe mają także i tę zaletę, że noszą nazwy z pozoru naukowe, lecz w rzeczywistości wyjawiające jasno naturę leku, którego nabywca mógłby przy zakupie odczuwać zakłopotanie (prostatan, menopausan, mendosan). Ulotki zaś na odwrót – zredagowane są tak, że nie jesteśmy w stanie pojąć zwięzłych ostrzeżeń, od których

zależy nasze życie: „Żadnych przeciwwskazań oprócz nieprzewidywalnego i wywołującego zgon reagowania na produkt”.

W przypadku sprzętu elektrycznego i innych podobnych urządzeń instrukcje powinny zawierać możliwie jak najwięcej wiadomości całkiem oczywistych, które pomijacie, tracąc w ten sposób jedyną informację naprawdę ważną:

Aby zainstalować PZ40, należy go rozpakować, wyjmując z kartonowego pudełka. Wyjąć go można jedynie po otwarciu tegoż. Pudełko otwiera się, rozchylając w przeciwnych kierunkach skrzydła pokrywy (patrz rysunek wewnątrz). Podczas otwierania zaleca się trzymać pudełko pionowo pokrywą do góry, ponieważ w przeciwnym razie PZ40 mógłby się wyślizgnąć, spadając na podłogę. Część górna pudełka to ta z napisem GÓRA. Jeżeli pierwsza próba otwarcia pudełka nie powiedzie się, radzimy spróbować ponownie. Bezpośrednio po otwarciu, a przed zdjęciem osłony z folii aluminiowej, radzimy oderwać czerwoną tasiemkę, gdyż inaczej pudełko wybuchnie. UWAGA: po wyjęciu PZ40 pudełko można wyrzucić.

Niełatwym zajęciem jest także tworzenie testów, które zamieszczają zwykle latem tygodniki polityczno-kulturalne. „Co wybieracie: sól gorzką czy kieliszek starego koniaku? Chcielibyście spędzić urlop z trędowatą osiemdziesięciolatką czy z Isabelle Adjani? Co wolicie: zostać obsypani jadowitymi czerwonymi mrówkami czy spędzić noc z Ornellą Muti? Jeżeli za każdym razem wybraliście odpowiedź pierwszą, macie charakter ekscentryczny, oryginalny, twórczy, lecz nie zależy wam zbytnio na seksie. Jeżeli wybieraliście zawsze odpowiedź drugą, to nieźli z was figlarze”.

W dodatku medycznym pewnego dziennika znalazłem test dotyczący opalenizny, w którym na każde pytanie przewidziano trzy odpowiedzi A, B, C. Interesujące są odpowiedzi A: „Kiedy wystawiasz się na słońce, jakie jest zaczerwienienie twojej skóry? A: Intensywne. Ile razy się spiekłeś? A: Za każdym razem. Jakiego koloru jest twoja skóra czterdzieści osiem godzin po wystąpieniu oparzenia słonecznego? A: Nadal czerwonego”. Wniosek: „Jeżeli odpowiedzieliście wielokrotnie A, wasza skóra jest bardzo wrażliwa i wysoce podatna na oparzenia słoneczne”. Przyszedł mi do głowy

test następujący: Czy często zdarzało się wam wypaść z okna? Czy doznaliście wtedy wielu złamań? Czy za każdym razem prowadziło to do trwałego kalectwa? „Jeżeli odpowiedzieliście wielokrotnie A, to albo jesteście głupi, albo macie kłopoty z błędnikiem. Nie wychylajcie się przez okno, kiedy jakiś dowcipniś woła z dołu, żebyście zeszli”.

1991

Jak stawiać wielokropek

W felietonie *Jak rozpoznać film porno* napisałem, że aby odróżnić film pornograficzny od filmu, który przedstawia po prostu życie erotyczne, wystarczy ustalić, czy bohaterowie, jadąc samochodem z jednego miejsca w drugie, zużywają więcej czasu, niż widz sobie życzy, a bieg akcji wymaga. Podobne kryterium naukowe pozwoli odróżnić pisarza zawodowego od pisarza niedzielnego (który również może stać się sławny). Chodzi o stosowanie wielokropka w środku zdania.

Pisarze stosują wielokropek jedynie na końcu zdania, gdy chcą wskazać, że mogliby ciągnąć dalej („na ten temat wiele można by jeszcze powiedzieć, ale...”), oraz pośrodku zdania lub między zdaniami, żeby zasygnalizować niekompletność tekstu („To odgałęzienie jeziora Como... nagle się zwęża”). Niepisarze stosują wielokropek, by usprawiedliwić użycie figury retorycznej, którą uznali za zbyt śmiałą: „Był rozwścieczony jak... byk”.

Pisarz jest kimś, kto zdecydował granice języka poszerzyć i dlatego bierze na siebie odpowiedzialność za zuchwałą nawet metaforę: „Cudu takiego nie oglądała natura: kąpać się w słońcach i osuszać rzekami”. Zgadzamy się wszyscy, że w tym dwuwierszu Artale przesadza, jak na barokowego poetę przystało, ale przynajmniej nie działa z ukrycia. Natomiast niepisarz ująłby to tak: „Kąpać się... w słońcach i osuszać... w rzekach”, jakby chciał powiedzieć „Oczywiście żartuję”.

Pisarz pisze dla pisarzy, niepisarz – dla sąsiada z klatki schodowej albo dla kierownika miejscowego urzędu pocztowego; obawia się więc (często niepotrzebnie), że go nie zrozumieją, a w każdym razie nie wybaczą mu jego śmiałości. W wielokropku widzi przepustkę: chce zrobić rewolucję, ale za zgodą karabinierów.

Jak bardzo zgubne są wielokropki, dowodzi zamieszczony poniżej zwięzły wybór wariantów, ilustrujący losy naszej literatury w przypadku, gdyby pisarzom zabrakło śmiałości.

„Wiem, że te ziemie, w oznaczonych tu granicach, od trzydziestu lat posiada... zakon świętego Benedykta”.

„Pochwalony bądź, Panie, za... księżyc, brata naszego, i za gwiazdy”.

„Jak w borze... ptaszę wśród zieleni”.

„Gdybym był... ogniem, w proch świat bym obrócił”.

„W życia... wędrówce, na połowie czasu”.

„Najświętszy i najdroższy i... najsłodszy ojcze w Chrystusie słodki... Jezu”.

„Inny na jasne warkocze, które... złotem czystym i... perłami tego dnia się wydawały”.

„Był ten brat Cebula wzrostu niskiego, włosy miał rude, oblicze zawsze wesołe. Był najbardziej cwanym... hultajem na świecie”.

I tak dalej, aż po „Rok... umierał nadzwyczaj łagodnie” i „Owej zimy padłem łupem... abstrakcyjnej furii”[21].

Cóż, trudno, nasi Wielcy najedliby się wstydu.

Zauważmy jednak, że wyrażający obawę przed śmiałością metaforycznej mowy wielokropek można również wykorzystać, gdy pragnie się wywołać domysł, że wyglądające na całkiem dosłowne wyrażenie jest w rzeczywistości figurą retoryczną. Podaję przykład. *Manifest komunistyczny* z 1848 roku zaczyna się, jak wiadomo, od słów: „Widmo krąży po Europie”. Zgodzicie się chyba, że jest to piękny incipit. A gdyby Marks i Engels napisali „Po Europie krąży... widmo”, podaliby po prostu w wątpliwość myśl, że komunizm jest czymś groźnym i niepokonanym. Rewolucja rosyjska wybuchłaby wtedy może o pięćdziesiąt lat wcześniej – niewykluczone, że za zgodą cara – i wziąłby w niej udział także Mazzini.

A gdyby napisali „Widmo... krąży po Europie”? Więc nie krąży? Stoi w miejscu? Ale gdzie? Może chodzi o to, że widma, będąc widmami, pojawiają się i znikają nagle, w okamgnieniu, i nie tracą czasu na krążenie?

Nie koniec na tym. Gdyby napisali „Widmo krąży... po Europie”? Czy chcieliby wtedy powiedzieć, że przesadzają, bo widmo krąży co najwyżej po Trewirze, a gdzie indziej można jeszcze spać spokojnie? Albo dawaliby do zrozumienia, że widmo komunizmu opętało już obie Ameryki, ewentualnie także Australię?

„Być albo... nie być, oto jest pytanie”, „Być albo nie być, oto jest... pytanie”, „Być albo nie... być, oto jest pytanie...”. Widzicie sami, ile szekspirolodzy musieliby się napracować, zanim zdołaliby odczytać ukryte intencje Wieszcza.

„Włochy są republiką opartą... na pracy (no, no!)”.

„Włochy są, powiedzmy... republiką opartą na pracy”.

„Włochy są republiką... opartą (???) na pracy”.

„Włochy (gdyby były)... byłyby republiką opartą na pracy”[22].

Włochy są republiką opartą na wielokropku.

1991

Jak stać się popularnym

Sławną starą książkę Dale'a Carnegiego przetłumaczono na włoski jako *L'arte di conquistare gli amici – Sztuka zdobywania przyjaciół*, a później wznowiono pod tytułem *Come trattare gli altri e farseli amici – Jak traktować innych i pozyskiwać ich przyjaźń* (Bompiani 2001). W rzeczywistości tytuł oryginału (*How to Win Friends and Influence People*) wyrażał dokładniej myśl określającą cele książki i etykę, na której się opiera[23]: rzecz nie w tym, aby znaleźć sobie przyjaciół dlatego, że przyjaźń daje wiele satysfakcji, lecz w tym, aby przekonać innych, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Możemy wtedy wywierać na nich wpływ i odnosić (my, nie oni) sukcesy, których słusznie pożądamy.

Krótko mówiąc, prawdziwym tematem książki jest nie przyjaźń, lecz zdobycie powodzenia. Weźmy na przykład anegdotę o pisarzu Hallu Cainie, który wybił się i został sławny, gdyż w młodości potrafił zaskarbić sobie przyjaźń Dante Gabriela Rossettiego. Gdyby to mu się nie udało – mówi nam Carnegie – „mógłby był umrzeć biedakiem".

Przeczytajcie uważnie strony o uśmiechu, o umiejętności chwalenia bliźniego i o wielu innych sposobach, którymi się go rozwesela i sprawia, że w waszym towarzystwie dobrze się czuje, aby potem zrobił to, czego wy pragniecie, w przekonaniu, że sam tego chce. Migać będą przed wami nieustannie twarze znanych postaci z naszego życia publicznego.

Aby przypodobać się innym i pozyskać ich przyjaźń, trzeba wiedzieć, czego ludzie zasadniczo pragną – na przykład dlaczego chcą być chwaleni. Z tej starej książki wiele można się nauczyć. Zawiera ona także myśl, że podstawową pobudką ludzkiego działania jest nie seks, lecz potrzeba czucia się ważnym. Carnegie twierdzi, że ten sam powód skłonił Dickensa do pisania, co Dillingera do popełniania przestępstw: chcieli widzieć swoje nazwisko w gazetach. Przyznaje on wprawdzie, że jest różnica

w „sposobie”, w jaki te dwie postaci cel swój osiągnęły; są to jednak filozoficzne niuanse, niemające nic wspólnego z dynamiką sukcesu.

Przypomniałem sobie o Carnegiem kilka dni temu wieczorem podczas programu *Dziedzictwo* – quizu Amadeusa, który oglądam regularnie, aby dzień po dniu sprawdzać, czy nie pojawia się u mnie *dementia praecox*. Padło wtedy pytanie, jaka wartość jest dla Włochów najważniejsza, przynajmniej zgodnie z najświeższym sondażem. Okazało się (ku zawstydzeniu uczestników usiłujących wymieniać miłość, pieniądze, szczęście rodzinne i tak dalej), że wartością, na której najbardziej ludziom zależy, jest rozgłos, bycie powszechnie znanym i rozpoznawalnym dla innych.

Proszę zauważyć, że tą wartością nie była Sława, pojęcie samo przez się związane z dokonaniem szlachetnego czynu dla dobra ogółu. Poddane testowi osoby (zakładamy, że reprezentatywne dla całej zbiorowości) nie pragnęły zapisać się w pamięci jako wynalazcy szczepionki antynowotworowej, bohaterowie, którzy z narażeniem życia ratują bliźnich, wielcy poeci lub rzeźbiarze, wodzowie armii, żeglarze, mistycy czy filantropi. Było bardziej niż oczywiste, że chcieli być rozpoznawalni, to jest rozpoznawani na ulicy, w drogerii, autobusie, supermarkecie. Jak Charlie Brown nie znosili braku „popularności”.

Chcieli więc być (mówię to bez ironii, lekceważenia lub awersji) jak sami uczestnicy programu *Dziedzictwo*, którzy z pewnością biorą w nim udział w nadziei na wygranie niezłej sumki (bo pomijając wyniki sondaży, także pieniądze są przedmiotem racjonalnych pragnień), ale w ostatecznym rozrachunku przyjmują z promiennym uśmiechem także przegraną, ponieważ zasadniczym ich celem jest możność pokazania się na ekranie, pozdrowienia przyjaciół i kolegów z pracy. Nazajutrz pojawią się godni poważania, bo porzucili haniebną anonimowość, stali się „osobami znanymi”.

Niezdrowy jest dla mnie system wartości ludzi, którzy aby zdobyć rozgłos, podpalają świątynię Diany z Efezu jak Herostrates, koszą seriami z pistoletu maszynowego jak Dillinger albo opowiadają w telewizji, że

opuszczono ich, przyprawiono im rogi, upokorzono i sponiewierano. Natomiast nie zamierzam bynajmniej moralizować na temat tych, którzy pragnąc stać się znani, uczestniczą w quizach lub tylko starają się o miejsce wśród publiczności podczas telewizyjnych dyskusji, tak aby przynajmniej koledzy biurowi i kioskarz z rogu rozpoznali twarz w trzecim rzędzie i następnego dnia mogli pogratulować. Bądźmy szczerzy: zabieganie o rozpoznawalność w taki sposób jest bardziej moralne niż dręczenie bliźnich pisaniem złych wierszy.

Problem polega jednak na czym innym. Otóż stacje telewizyjne dobrze wiedzą, że ludzie tego pragną, i (aby zapewnić sobie oglądalność, co jest równoznaczne – powiedziałby Carnegie – z pozyskiwaniem sobie przyjaciół) dniem i nocą pozwalają im się pokazywać na dziesiątkach kanałów. Podsumujcie liczbę programów, osób, które w nich uczestniczą, godzin i dni transmisji na przestrzeni wielu lat. Wynik będzie przerażający: każdy obywatel Włoch co najmniej jeden raz stanie się znaną twarzą i w kraju prawie sześćdziesięciu milionów znanych twarzy każda pozostanie nieznana.

2005

Jak się pokazać, będąc nikim

W zeszły piątek, prowadząc dialog ze Stefanem Bartezzaghim[24] w ramach wieczorów organizowanych przez „Repubblica” w Bolonii, zastanawiałem się nad pojęciem reputacji. Reputacja była kiedyś tylko albo dobra, albo zła, a ryzyku złej reputacji (z powodu bankructwa lub dlatego, że człowiek uchodził za rogacza) zapobiegało się nieraz samobójstwem bądź tak zwanym zabójstwem honorowym. Oczywiście wszyscy dążyli do zapewnienia sobie dobrej reputacji.

Od dawna już jednak pojęcie reputacji ustąpiło pojęciu rozgłosu. Dziś wartością nadrzędną jest pokazać się, nic zaś nie nadaje się do tego lepiej niż, rzecz jasna, telewizja. I wcale nie trzeba być Ritą Levi-Montalcini[25] ani Mariem Montim[26]; wystarczy w programie, który ma wzruszyć widza do łez, wyznać, że małżonek cię zdradził.

Pierwszym mistrzem sztuki pokazywania się był imbecyl stający za osobami, z którymi przeprowadzano wywiad, i machający rączką. Bywał dzięki temu rozpoznawany następnego wieczoru w barze („wiesz, widziałem cię w telewizji!”), ale takie występy trwały zaledwie chwilę. Rozpowszechnił się więc stopniowo pogląd, że aby pojawiać się w sposób stały i oczywisty, trzeba robić coś, co pewnego dnia zaowocuje złą reputacją. Nie znaczy to, że nie pragnie się także dobrej reputacji, lecz trudno jest ją zdobyć. Trzeba byłoby dokonać jakiegoś bohaterskiego czynu, uzyskać jeśli nie Nagrodę Nobla, to przynajmniej Nagrodę Stregi[27], poświęcić życie na leczenie trędowatych – wszystko poza zasięgiem zwykłego przeciętniaka. Łatwiej stać się obiektem zainteresowania – najlepiej chorobliwego – idąc za pieniądze do łóżka z kimś sławnym albo ściągając na siebie oskarżenie o malwersacje. Nie żartuję, wystarczy zobaczyć dumną minę łapówkarza lub drobnego cwaniaczka, kiedy pokazują ich w telewizji może nawet w dniu aresztowania. Te kilka minut

rozgłosu warte jest więzienia – jeśli nie zapobiegnie mu przedawnienie – i dlatego oskarżony się uśmiecha. Kiedyś życie człowieka pokazanego w kajdankach było skończone; kiedyś, dziesiątki lat temu.

Jednym słowem, zasada brzmi następująco: „Jeżeli pojawia się Matka Boska, to dlaczego nie ja?”. Mniejsza o fakt, że nie jest się dziewicą.

O takich rzeczach rozmawialiśmy w piątek piętnastego ubiegłego miesiąca, a właśnie dzień później ukazał się w „Repubblica” długi artykuł Roberta Esposita (*Utracony wstyd*) z rozważaniami między innymi o książkach Gabrielli Turnaturi (*Vergogna. Metamorfosi di un’emozione – Wstyd. Metamorfoza emocji*, Feltrinelli 2012) i Marca Belpolitiego (*Senza vergogna – Bez wstydu*, Guanda 2010). Tak więc temat wstydu występuje w różnych rozmyślaniach o współczesnej obyczajowości.

Czy to frenetyczne dążenie do pokazania się (i do rozgłosu za wszelką cenę, także za cenę tego, co kiedyś uchodziło za piętno wstydu) spowodowane jest utratą wstydu, czy też traci się poczucie wstydu, ponieważ wartością nadrzędną jest pokazanie się nawet za cenę wstydu? Skłaniam się ku tej drugiej tezie. Bycie widzianym, bycie przedmiotem rozmów stało się wartością nadrzędną tak dalece, że ludzie gotowi są zrezygnować z tego, co nazywano niegdyś wstydliwością (albo zazdrosnym poczuciem własnej prywatności). Esposito odnotowuje, że dowodem braku wstydu jest także głośne rozmawianie przez telefon komórkowy w pociągu, to znaczy informowanie wszystkich o swoich prywatnych sprawach, o których kiedyś szeptano na ucho. Rzecz nie w tym, że taki człowiek jest świadomy, iż inni go słyszą (dowodziłoby to tylko złego wychowania), ale w tym, że podświadomie pragnie być słyszanym, chociaż jego prywatne sprawy pozbawione są znaczenia. Niestety, nie wszystkich prywatne sprawy mogą być ważne jak w przypadku Hamleta lub Anny Kareniny, wystarczy więc dać się poznać jako *escort girl* albo zalegający dłużnik.

Przeczytałem, że nie wiem już który ruch eklezjastyczny chce przywrócić spowiedź publiczną. No tak, bo jaką przyjemność sprawia mówienie o własnych wstydliwych uczynkach jedynie do ucha spowiednika?

2012

Jak karać nadawców spamu

Z badań przeprowadzonych przez McAfee, o których pisano we wszystkich gazetach, wynika, że fenomen spamu, to jest niechcianych wiadomości przysyłanych mailem, powoduje ogromne zużycie energii. Jedna tylko wiadomość wytwarza 0,3 grama dwutlenku węgla, co równa się emisji samochodu przejeżdżającego metr drogi. Cały będący w obiegu spam zużywa podobno corocznie trzydzieści trzy miliardy kilowatogodzin energii, co odpowiadałoby zużyciu wywołanemu przez trzy miliony samochodów albo dwa i pół miliona mieszkań – stąd efekt cieplarniany wynoszący siedemnaście milionów ton dwutlenku węgla. Pomijam inne szczegóły techniczne i stwierdzam jedynie, że spam nie tylko oznacza uciążliwość i często sposób na wydobywanie od nas informacji, ale też odbija się negatywnie na naszym zdrowiu.

Wygląda na to, że żadna władza na świecie nie jest w stanie spamu ograniczyć. Nawet uruchamiane przez niektórych z nas filtry okazują się niezbyt skuteczne, ponieważ wiele niepożądanych wiadomości przenika przez ich sieci. Na dodatek zdaje się, że największe marnotrawstwo energii wywołuje właśnie otwieranie tych wiadomości i kasowanie ich ręcznie.

Złości to wszystko człowieka i skłania do rozmyślań, jak sam ma się bronić. W braku lepszego rozwiązania rodzi się chęć zemsty. I tak wpadłem na pewien pomysł; oczywiście spodziewam się, że zareagują setki ekspertów, dowodząc mi, że jest on niewykonalny i szkodliwy. Uprzedzam, że wyrzucę ich listy do kosza (uznając je za spam), ponieważ zamierzam jedynie wystąpić z prowokacją.

Podzielmy więc nadawców niepożądanych wiadomości na natrętów przemysłowych i natrętów rzemieślników. Sądzę, że natręci przemysłowi mogą na wiele sposobów zneutralizować mój protest, lecz istnieją tysiące natrętów rzemieślników jak ten, który posługując się niepewnie językiem

włoskim, zawiadamia was, że wygraliście nagrodę, i prosi o wasze dane, albo obywatel Mali, który otrzymał ogromny spadek, ale z jakichś przyczyn nie może go podjąć i proponuje wam udział w operacji odzyskiwania, oferując pięćdziesiąt procent całości, oczywiście pod warunkiem, że mu wpłacicie pewną sumę tytułem gwarancji, i tak dalej.

Natręci rzemieślnicy nie mają może nawet dostępu do szerokopasmowego internetu. Nie wiem, czy zdarzyło się wam otrzymać od jakiegoś imbecyla cały sześciusetstronicowy tom z kolorowymi zdjęciami, kiedy nie przebywaliście u siebie w domu, gdzie macie połączenie z Alice lub z Fastweb, tylko w hotelowym pokoju albo w wiejskiej chacie. Zapisywanie takich śmieci trwa wtedy godzinę, komputer pozostaje zablokowany.

Otóż podobnym natrętom można odpowiedzieć, załączając Biblię Jerozolimską. Znajdziecie ją pod http://www.liberliber.it/online/autori/autori-b/bibbia/la-sacra-bibbia, przy odbiorze ma 1226 stron i liczy 11 574 KB. Wystarczą jednak dwie sekundy, aby ją przestawić na spację dwa i rozmiar czcionki 20; zrobi się od razu 6556 stron i ponad 14 000 KB. To niezły tobołek. Jeśli macie szerokie pasmo, wyślecie go w kilka minut, możecie zresztą zrobić to w nocy. Ktoś, kto szerokim pasmem nie dysponuje, będzie miał duży kłopot. Jeżeli postąpiłbym tak nie tylko ja, ale kilkuset innych, nieszczęśnik byłby praktycznie unieruchomiony.

Wiem, że w ten sposób przyczyniłbym się do wzrostu zanieczyszczenia. Jeżeli jednak po kilku tygodniach wskutek takiej odpowiedzi pewna liczba natrętów zrezygnowałaby ze swojej działalności, w ostatecznym rozrachunku koszty poniesione w zakresie energii byłyby niższe od końcowego zysku. A ponadto, *pereat mundus*, płynąca z zemsty satysfakcja nie znosi małostkowych obliczeń.

Można by oczywiście z niewielkim trudem zrobić więcej. Faksymile wydania *Retoryki* i *Poetyki* Arystotelesa z 1551 roku liczy w PDF-ie ponad 37 000 KB, podobnie jak *Suma teologiczna* w edycji dwujęzycznej. *Religijna melancholia* Burtona ma w PDF-ie około 32 000 KB, *Tajemnice*

Paryża Sue w wydaniu francuskim – 76 871 KB, a więc prawie sześć razy więcej niż Biblia. A jeżeli macie naprawdę sprawny komputer i włączacie go na noc, możecie wysłać wszystkie wymienione przeze mnie teksty razem.

Krótko mówiąc, nawet organizacja o charakterze przemysłowym po otrzymaniu kilku tysięcy Biblii i *Tajemnic Paryża* zaczęłaby się zastanawiać. Dodam jeszcze, że aby sprawdzić, ile czasu takie czynności wymagają, pierwszą Biblię wysłałem na własny adres. Nie udało mi się jej później odnaleźć w poczcie przychodzącej i stwierdziłem, że któryś filtr skierował ją automatycznie do poczty odrzuconej. Sądzę jednak, że ta operacja również okazała się długotrwała, więc hipotetyczny adresat i tak znalazłby się w wielkim kłopocie.

2009

Jak posługiwać się siecią, usiłując coś sobie przypomnieć

W „L'Espresso" sprzed kilku tygodni opublikowałem list do wyimaginowanego wnuczka, aby zachęcić go do posługiwania się własną pamięcią, nie poprzestając na czerpaniu informacji z tego niezbędnego skądinąd repertorium, jakim jest internet. Jakiś cyfrowy talib na nie pamiętam już którym blogu oskarżył mnie natychmiast, że okazałem się (jak zwykle, zapewnił) wrogiem internetu. Tak jakby ten, kto krytykuje pędzących z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę po autostradzie lub prowadzących w stanie nietrzeźwości, był przeciwny samochodom i samochodu nigdy nie używał. I na odwrót, w „L'Espresso" z ubiegłego tygodnia Eugenio Scalfari[28] (odnosząc się do mojego ostatniego *Zapisku*, gdzie była mowa o skazanych na wieczną teraźniejszość biedakach, którzy w programie *Dziedzictwo* dowiedli, że ich zdaniem Hitler i Mussolini żyli w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych) ganił mnie (czułymi słowami) za przesadę w przeciwnym kierunku, to jest za zbytnią ufność do internetu jako do źródła informacji.

Scalfari twierdził, że spłaszczenie wywołane sztuczną pamięcią on line spowodowało narodziny chorego pokolenia zapominalskich. Twierdził też, że posługując się siecią i mając wrażenie, że jesteśmy w kontakcie ze wszystkim i ze wszystkimi, skazujemy się w rzeczywistości na samotność. To dwie choroby naszych czasów, podzielam jego zdanie i wiele na ten temat napisałem. Scalfari nie cytuje jednak fragmentu z Platońskiego *Fajdrosa*, gdzie faraon gani boga Thota – wynalazcę pisma, za to, że wymyślił technikę, przez którą ludzie wyzbędą się dobrego obyczaju używania pamięci. Tymczasem potem stało się inaczej: istnienie pisma zachęciło ludzi do zapamiętywania tego, co przeczytali, i tylko dzięki

pismu mogła powstać owa pochwała pamięci, jaką jest *W poszukiwaniu* Prousta. A zatem można z powodzeniem posługiwać się internetem i jednocześnie ćwiczyć pamięć, starając się zapamiętać to, czego się dowiedzieliśmy z samego internetu.

Rzecz w tym, że sieć nie jest czymś, co możemy odrzucić, podobnie jak nie możemy wyrzec się krosien mechanicznych, motoryzacji i telewizji. Ona jest, nie zniszczą jej nigdy żadne dyktatury, a więc trzeba nie tylko rozpoznać związane z nią zagrożenia (są one oczywiste), lecz także zdecydować, jak można się przyzwyczaić do używania jej w sposób krytyczny (i nauczyć tego młodzież).

Wyobraźmy sobie dobrego nauczyciela, który zleca opracowanie tematu X i wie, że nie ma rady, że jego uczniowie, nie zadając sobie najmniejszego trudu, znajdą w internecie rozwiązania przeżute i wyplute. Otóż ten nauczyciel może zlecić wyszukiwanie wiadomości na dany temat w co najmniej dziesięciu witrynach internetowych, potem ich porównywanie, z odnotowaniem ewentualnych różnic lub sprzeczności, a wreszcie ustalenie, która witryna jest najbardziej wiarygodna; wskazane byłoby również sprawdzenie informacji na nośnikach papierowych (choćby tylko w małej encyklopedii wydawnictwa Garzanti). Uczniowie zapoznają się wtedy z tym, co dać im może internet – głupotą byłoby tego zabraniać – a jednocześnie ruszą głowami i zapiszą sobie w osobistej pamięci, czego nauczyli się o X. Zauważmy ponadto, że porównując wzajemnie wyniki swoich poszukiwań, wyzbędą się ciężaru samotności i zasmakują w bezpośrednim kontakcie.

Niestety, nic nie da się zrobić z potępieńcami sieci, z samotnikami, którzy nie są już zdolni zrezygnować z urzekającego stosunku z ekranem. Jeśli ani rodzicom, ani szkole nie udało się wyrwać ich z tego piekielnego kręgu, trzeba zaliczyć owych nieszczęśników do tej samej kategorii, do której należą narkomani, nałogowi onaniści, rasiści, mistyczni wizjonerzy, klienci wróżek, czyli te wszystkie zdegenerowane postaci, którym każde społeczeństwo musi odpowiedzialnie stawić czoło. Zawsze w dziejach tak było.

Ponieważ w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat liczba mieszkańców naszej planety wzrosła z dwóch do siedmiu miliardów, dzisiaj wydaje się, że takich „chorych” jest zbyt dużo. I nie jest to wina samotności narzuconej przez sieć, prędzej nadmiaru kontaktów międzyludzkich.

2014

Jak nie dać się wciągnąć w spisek

W ubiegłych tygodniach pojawiły się w najważniejszych gazetach reportaże o jakimś nauczycielu z peryferii Paryża, który zawładnął poniekąd umysłami swoich uczniów, wmawiając im, że światem rządzi tajemna sekta zwana iluminatami. Z dokładnej lektury wynikało, że źródło informacji jest jedno: pewnemu francuskiemu dziennikarzowi zabrakło tematów, więc wyszukał grupę młodych ludzi, którzy korzystając z internetu, napełniali sobie głowy wiadomościami o światowym spisku i tajemnej sekcie ustalającej losy naszego globu.

Otóż nie tylko czytelnicy książek (mogący wybrać odpowiednie tytuły w zbiorze liczącym setki tomów we wszystkich językach), lecz także osoby posługujące się wyłącznie internetem wiedzą doskonale o nadmiarze witryn poświęconych globalnemu spiskowi, Panom Świata, ośrodkom władzy tajemnej sięgającym od osiemnastowiecznych iluminatów po różne Kluby Bilderberg, Trójprzymierze i Davos, aby dotrzeć w końcu (jakżeby inaczej, to nieuniknione) do machinacji Mędrców Syjonu i do szponiastych żydowskich rąk zawieszonych nad naszą planetą, widocznych już na rysunkach w antysemickich tygodnikach francuskiej Trzeciej Republiki u schyłku XIX wieku.

Stare sprawy. Z dotyczącej ich obfitej literatury (którą w dziewięćdziesięciu procentach stanowią oparte na powtórzeniach śmieci) czerpał Dan Brown, aby skonstruować swój bestseller; ja sam zaś – nie chwaląc się – zobrazowałem ją groteskowo w 1988 roku w *Wahadle Foucaulta*. Nie miałem wtedy jeszcze do dyspozycji internetu, ale mogłem pogrzebać w różnych okultystycznych księgarniach.

Internet obfituje więc w witryny o kosmicznym spisku i istnieją ludzie, którzy naprawdę w niego wierzą. To nie ulega wątpliwości, tym bardziej że żyjemy w dobie odradzania się najrozmaitszych populizmów, kiedy

pragnący pobudzić wyobraźnię prostaczków rozprawiają o konspiracyjnej działalności tych (nieznanych), którzy są przyczyną wszelkich naszych nieszczęść. Zastanawia natomiast fakt, że wystarczy pobieżna wzmianka francuskiego dziennikarza, który nie wiedział, o czym napisać, żeby zarobić parę groszy – a już poważne gazety mieszają niefrasobliwie w znanym wszystkim bagnie.

Można by to zjawisko zinterpretować w sposób bardzo dla dziennikarstwa niepochlebny: byle tylko zapełnić stronę, rozdmuchuje się pozbawiony znaczenia epizod o psie, który ugryzł człowieka, bo nie ma się do dyspozycji człowieka, który ugryzł psa. No dobrze, często tak się robi, ale jest w każdym razie dziwne, że czytelnicy zaakceptowali tę niby-nowinę, a nawet przeczytali ją z przyjemnością (sprawdziłem wśród znajomych: „No i pomyśl tylko, kto by mógł powiedzieć...”).

To prowadzi nas do dość smutnych rozważań na temat internetu. W sieciowym oceanie, w którym opowiada się nam o wszystkim, o czym opowiedzieć można, gdzie znajdziemy na przykład życiorys ciotki Hammurabiego, mundury żołnierzy wojny siedmioletniej, grupę krwi Napoleona, liczbę zębów, które zostały w ustach Goliata po strzale z procy Dawida – wiedzieć wszystko (lub móc wszystko wiedzieć) oznacza wszystko zapomnieć (lub móc zapomnieć).

Wystarczyłoby więc leniwemu dziennikarzowi wybrać na chybił trafił witrynę, wziąć z niej powszechnie znaną wiadomość, sklecić na jej podstawie artykulas pod tytułem *Sensacyjne odkrycie historyczne* i spokojnie sprzedać dobrze znany materiał, wyszedłszy z założenia, że jest on już przestarzały i można go ad libitum odmładzać bez obawy, że czytelnicy zaprotestują.

Ów dziennikarz mógłby też spłodzić tekst na dwie strony zatytułowany *Niezwykłe odkrycie uczonych z Cambridge: Cezara rzeczywiście zamordowano w idy marcowe* i zasłużyć sobie na gratulacje redaktora naczelnego: „Chłopcze, jak się o tym dowiedziałeś? To prawdziwa bomba!”.

Jeśli dobrze się zastanowić, można by to uznać za rodzaj powtórki. Czyż w liceum nie musieliśmy się uczyć historii rzymskiej, której uczyliśmy się już w gimnazjum? Starczyłoby powiedzieć, że chodzi o powtórkę, nie o najświeższe wiadomości.

2014

Jak nie zapominać o pedofilach

Przypominacie sobie może pedofilów. Kilka lat temu wydało się nagle, że pedofil czyha w każdym kącie. Dzieci trzymano na smyczy, w pewnych miejscowościach odbywały się marsze protestacyjne, a osoby kochające nieletnich, które wcześniej – kiedy dziecko plątało się im pod nogami w supermarkecie lub na korytarzu w pociągu – odsuwały je łagodnie, głaszcząc po główce, uważały na każdy swój ruch; często nawet, w obawie, że będą natychmiast podejrzane o nieczyste zamiary, dawały dzieciakowi kopniaka i gestami oraz wzrokiem okazywały cnotliwe obrzydzenie, jakie budziła w nich każda nędzna istota ludzka w wieku przedpoborowym.

Wszyscy wiedzieliśmy oczywiście, że pedofile istnieją od początku świata, i wszystkich nas nauczono w dzieciństwie, że nie należy przyjmować cukierków od nieznajomych – podobnie jak cnotliwe panienki uczyły się już w latach dojrzewania, że nie należy słuchać panów, którzy zapraszają je do siebie, żeby im pokazać kolekcję chińskiej porcelany. Ale chociaż to wszystko wiedzieliśmy, uwierzyliśmy nagle, że pedofilia przybrała niespodziewanie kosmiczny rozmiar. Uwierzyliśmy także i dlatego, że o ile kiedyś pedofile usiłowali nie zwracać na siebie uwagi, o tyle niedawno zaczęli pojawiać się w internecie, jak gdyby chcieli zawiadomić wszystkich o swojej nachalnej obecności. Dowodziło to, że przeciętny pedofil jest nie tylko świntuchem, ale i głupcem, bo on jeden – jak się wydawało – wierzy jeszcze, że stosunki on line mają charakter prywatny i inni nie mogą ich śledzić.

Później równie nagle przestano o pedofilach mówić. Spróbujcie poszukać w prasie z ostatnich lat. Żadnej wzmianki o panach zagadujących słodziutko dzieci w parku miejskim, żadnego szatańskiego wuja, który lubieżnie obłapia małego siostrzeńca, zupełnie nic. Chyba wszyscy się nawrócili – czy ja wiem – na gerontofilię.

Zostawmy pedofilów. Przez ostatnie dwa miesiące nie mieliśmy z pewnością czasu nimi się zajmować, ponieważ absorbowało nas potrząsanie butelkami wody mineralnej, by sprawdzić, czy z mikroskopijnej, niedostrzegalnej dziurki nie wydostaje się ciecz; ćwiczyliśmy się też w wąchaniu proszków do prania i płynów wybielających, aby umieć wykryć ich obecność już w chwili podnoszenia szklanki do ust. Prawdziwy kłopot, gdyż pedofile są zmartwieniem tylko dla rodziców małych dzieci, a zatruwającymi wodę mineralną martwią się wszyscy, także kawalerowie, panny i stulatkowie pozbawieni rodziny.

Zauważyliście jednak, że zatrutej wody mineralnej nie ma już w obiegu. Powodem są chyba święta, oczekiwanie na bombę pośrodku placu Świętego Piotra albo sprawa wybuchowej *Rozkoszy*, którą przysłano Prodiemu[29]; wspomnę mimochodem, że pomijając zbrodnię, którą wszyscy potępiają, wyrządzono krzywdę także pięknej powieści D'Annunzia – bo kto teraz się odważy kupić egzemplarz *Rozkoszy* od bukinisty? W każdym razie w gazetach nie ma już mowy o wodzie mineralnej. Może przestępcy się rozmyślili, może znudziła się im po prostu ta głupia zabawa albo policja stała się bardziej czujna – nie wiem, lecz faktem jest (nie czytamy przecież tego, o czym gazety już nie piszą), że wodę mineralną można teraz spokojnie pić.

Nie chciałbym wydać się przesadnym optymistą, ale znikło także nietypowe zapalenie płuc. To znaczy kilka dni temu pojawiło się znowu, był to jednak odosobniony przypadek. Jako epidemia jest ono rzeczywiście nietypowe. Zgodnie z etymologią epidemia, która nie rozprzestrzenia się szybko wśród całej ludności, nie ma prawa do miana epidemii.

Bystry czytelnik będzie już w stanie prowadzić dalej mój wykaz i przypomnieć sobie nieskończoną ilość zjawisk przedstawianych nam jako epidemiczne, a trwających jeśli nie chwilę tylko, to z pewnością nie dłużej niż kilka tygodni. Rodzi się zatem uzasadnione podejrzenie, że środki masowego przekazu skłonne są wyolbrzymiać znaczenie pewnych epizodów, aby wypełnić strony lub minuty transmisji i wprowadzić publiczność w dobry nastrój. Postępując tak, wywołują bez wątpienia

naśladownictwo (człowiek, który myślał o czymś innym, powie sobie: „Popatrz, co za piękny pomysł – dawać cukierki nieznanemu dziecku; popatrz, co za piękny pomysł – wstrzykiwać środki piorące do plastikowych butelek”), ale wariaci prędko zmęczą się imitowaniem, a prasa i telewizja dojdą do wniosku, że opowiadaniem zawsze tej samej historii nie zwiększa się *audience*. I tak zjawisko wędruje do archiwum.

Proszę zauważyć, że co się tyczy butelek wody mineralnej, to – pomijając przypadek jakiegoś szaleńca, który rzeczywiście wodę zatruwał – chodziło w znacznej mierze o zbiorową psychozę. Pewne osoby chciały się poddawać płukaniu żołądka tylko dlatego, że otworzyły butelkę, której zawartość czuć było korkiem. Pedofile są jednak naprawdę, są jak zawsze. Jeśli nam się wyda, że sprawa skończona, możemy zaniechać ostrożności, która jest nadal konieczna. Tak jednak toczą się losy świata: nie wyzbyliśmy się szkaradnego nałogu, krzyczymy zbyt długo „ratunku, ratunku!”, aż w końcu ktoś przestaje to brać na serio i na ratunek jest już za późno.

2004

Jak unikać karnawału, codziennie go przeżywając

Piszę, gdy kończy się właśnie potworny karnawał. Staram się nie wychodzić z domu, ale nie mogę uniknąć oglądania karnawałowych scen – od Viareggio po Wenecję – w telewizji. Kiedy widzę na ulicach te dziewczynki przebrane za osiemnastowieczne damy z muszką na policzku, tych niezgrabnych chłopczyków w strojach na wzór Zorro z namalowanymi sadzą wąsikami, czuję nienawiść do dzieci, ogarnia mnie kompleks Heroda. Równie nieprzyjaźnie jestem nastawiony do ich starszych braci, którzy krążą poprzebierani za puchacza albo za Casanovę, nie mówiąc już o tych najuboższych w żałosnych cylindrach z kartonu i kapotach z worka.

Nienawidzę karnawału z przyczyn, które prawdopodobnie mogłyby zainteresować psychiatrę: nie lubię wszelkiego rodzaju maskowania ludzkiego ciała, nie tylko w wykonaniu prezentera Platinette, ale także przedstawicieli wolnych zawodów w dwurzędowych marynarkach, którzy farbują sobie włosy, i pań ze zbyt rzucającym się w oczy makijażem; zmilczę już o ciałach wyposażonych w kółeczka i perełki lub oszpeconych papuaskimi tatuażami, których widok nasuwa mi myśl, że może jednak należałoby docenić Lombrosa[30]. I proszę nie zwracać mi niemądrze uwagi na fakt, że sam noszę brodę. Broda jest częścią ciała, podobnie jak włosy i piersi, więc maskują się raczej ci, którzy się golą. To, że stanowią większość, nie oznacza, że mają rację.

Istnieją jednak inne, głębsze powody, które sprawiają, że przynajmniej dzisiaj jest w karnawale coś podejrzanego. Wiemy, jaką rolę odgrywał on w wiekach minionych. Literatura na ten temat jest bardzo bogata, powiedziano o nim wszystko, co było do powiedzenia. Pomijając już podobne do karnawału obchody w starożytności, wystarczy pomyśleć, jak narodził się w chrześcijańskim średniowieczu. Aby to zrozumieć, trzeba przyjąć punkt widzenia nie szlachty i możnych, ale zwykłych biedaków.

Jedzenia mieli mało, wstawali o wschodzie słońca, spać szli o zachodzie, pracowali przez cały dzień, ubierali się licho i brakowało im czasu na rozrywki. Jedyną zabawą był seks, dozwolony jednak (dla tych, którzy chcieli być dobrymi chrześcijanami) jedynie przez mniej więcej połowę roku; odradzano go w wielkim poście oraz w innych, bardzo licznych okresach świątecznych. Rozrywki dostarczały tylko piękne śpiewy na niedzielnej mszy, ale żeby je usłyszeć, trzeba było mieszkać w pobliżu katedry albo opactwa, bo wiejskie probostwa na msze śpiewane nie mogły sobie pozwolić.

Rzecz jasna, ludzie potajemnie rozmaite rzeczy robili, ale oficjalnie ciałem nie należało prawie wcale się zajmować, wielu mistyków i teologów krzywo na to patrzyło.

No i gdzieś tak w połowie roku, zaczynającego się od pierwszych jesiennych chłodów, a kończącego na sierpniowych upałach, otrzymywali wszyscy w darze karnawał, oazę wolności i rozprężenia, gdzie na wszystko można było sobie pozwolić, a zwłaszcza można i trzeba było zapomnieć o trudach nędznego żywota i bawić się, bawić i nie pracować, bawić się po prostu dla przyjemności, jaką daje zabawa. Był to zawór bezpieczeństwa nieodzowny, błogosławiony, pożądany. Potem dosyć, od jutra znowu smutek i kłopoty przez cały następny rok. Karnawał stanowił instytucję niezbędną społeczeństwu.

A dzisiaj? Kiedy tak wielu mówi o życiu jako karnawale. Dzisiaj, gdy najuboższy nawet obywatel (z wyjątkiem jedynie sypiających na parkowych ławkach kloszardów) może mieć codziennie prawie dwadzieścia cztery godziny karnawału w telewizji, a w każdym razie może rozkoszować się grami, tańcami i zabawami karnawałowymi co wieczór, poczynając od zachodu słońca. Kiedy ze ścian domów albo zza szyb mijanych kiosków podobizny przepięknych kobiet i mężczyzn namawiają nas do rozrywek, do luksusu i oczywiście do wyrafinowanej zmiany wyglądu własnego ciała. Podczas dawnego karnawału, podobnie jak podczas saturnaliów rzymskich i święcenia tryumfów, można było sobie raz do roku pozwolić na żarty

z możnowładców; dzisiaj oni sami z siebie karnawałowo kpią w cyrkowych programach, bijąc się po gębach i błaznując jak klauni.

Jaki sens ma obchodzenie karnawału w świecie, w którym karnawał jest nam oferowany przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku? Gdyby tak jeszcze podczas karnawału występowało się naprawdę przeciwko władzy, burzyło ustalony porządek społeczny, gdyby każdy mógł się wtedy odegrać... Ale nie, ludzie spacerują smutno po ulicach śliskich od mokrego konfetti i kupują na straganach słodycze, które przez cały rok można kupić w supermarkecie, gdzie panują lepsze warunki higieniczne. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że w wielkim poście będzie lepiej. Nie obawiajcie się, czeka na nas za rogiem.

2005

Jak przeżyć w chaosie mediów

W „Venerdì di Repubblica” z zeszłego tygodnia Michele Serra znalazł się w trudnej sytuacji. Musiał odpowiedzieć czytelnikowi, który napisał do niego, co następuje (streszczam z pamięci i uzupełniam na swój sposób): telewizja i prasa zapewniają nas, że wszyscy jesteśmy ogarnięci nienawiścią, a ja, rozmawiając z sąsiadami lub z kolegami z pracy, widzę ludzi spokojnych, nastawionych pokojowo, którzy nikogo nie nienawidzą; oglądam dyskusje w tv i odnoszę wrażenie, że każdy chciałby innych zgnębić, a w życiu codziennym – poza drobnymi przejawami braku wychowania – mam do czynienia z ludźmi odnoszącymi się z szacunkiem do rozmówcy, przepraszającymi, jeśli zdarzy się im kogoś potrącić; czytam o szerzącym się rasizmie, a widzę osoby, które dają pieniądze proponującemu im róże ciemnoskóremu, zamiast do niego strzelać. Czy zatem media nie przedstawiają życia gorszego, niż naprawdę jest – i nie tylko (uzupełniam na swój sposób), czy nie zachęcają nas, byśmy zachowywali się gorzej, niż sami jesteśmy skłonni? Serra odpowiedział zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, podzielam w pełni jego zdanie: to prawda, jest tak w istocie, wyobraźmy sobie jednak pozbawiony telewizji i gazet świat, w którym w ogóle nie mamy dostępu do informacji; czy byłby on lepszy? Starajmy się zatem być bardziej krytyczni i selektywni wobec środków masowego przekazu, aby w tym chaosie przeżyć.

Dlaczego jednak prasa i telewizja stały się tak perwersyjne, dlaczego przedstawiają świat gorszy, niż jest w rzeczywistości? Otóż nie inaczej było zawsze, od pojawienia się gazet. Jeśli szukacie aktu oskarżenia przeciwko prasie, przeczytajcie *Bel-Ami* Maupassanta, a zobaczycie, że nasze dzisiejsze grzechy mają głęboko sięgające korzenie. Za czasów moich dziadków i moich rodziców prasa lubowała się w kronice kryminalnej: miesiącami, jeśli nie latami, ciągnęła się polemika w sprawie Bruneri–

Canella; w porównaniu z nią dzisiejsze zbrodnie w Garlasco i w Cogne to krótkotrwałe przebłyski. Nastąpił skok ilościowy, nie jakościowy; dobrze jednak wiemy, że po przekroczeniu pewnej granicy zmiany ilościowe przechodzą w jakościowe.

Prawdą jest bezsprzecznie, że telewizyjne trybuny polityczne z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były wzorem dobrego wychowania i uprzejmości, ale działo się tak, ponieważ transmitowano tylko jedną dyskusję w tygodniu na jednym tylko kanale. Po wzroście do siedmiu dyskusji dziennie na siedmiu kanałach trzeba krzyczeć, bo inaczej nikt was nie słyszy. Przypominam sobie, że pewnemu przyjacielowi, który zaczynał właśnie prowadzić program telewizyjny, udzieliłem kiedyś rewolucyjnej rady: trzymaj w kieszeni pilota i kiedy jakiś facet przerywa innemu, wyłącz mu audio, wtedy on, jak kretyn, odegra na ekranie niemą scenę. Zobaczysz, że przestaną się przekrzykiwać. Zachwycony przyjaciel gorąco mi podziękował, ale później robił tak samo jak wszyscy inni. Najwidoczniej powiedziano mu, że jeśli dyskutanci się nie przekrzykują, to znudzeni widzowie zmieniają kanał.

Kłopoty związane z ilością są wielorakie. Niegdyś dziennik miał cztery strony (mówię o szczęśliwych latach wojny), dzisiaj ma ich przeciętnie sześćdziesiąt, a przecież na świecie więcej się nie dzieje – wręcz przeciwnie, więcej się działo w latach 1943–1945, wystarczy wspomnieć Holokaust i bombę atomową. Żeby zapełnić te sześćdziesiąt stron i zagwarantować sobie reklamy, dzięki którym żyjesz, musisz wiadomości wyolbrzymiać, dbać o sensację nie tylko na pierwszej, ale też na drugiej i na trzeciej stronie; w rezultacie pisze się tego samego dnia o tym samym wydarzeniu dziesięć razy z punktu widzenia dziesięciu reporterów, stwarzając wrażenie, że wydarzeń było dziesięć. Dlaczego jednak musisz mieć dość reklam, żeby zapełnić sześćdziesiąt stron? Dlatego, żeby móc sześćdziesiąt stron wydrukować. A dlaczego aż sześćdziesiąt stron? Żeby mieć taką ilość reklam, która umożliwi ci ich wydrukowanie.

Jak już zrozumieliście, szantażu ilością nie da się uniknąć, cierpi zaś na tym jakość. Serra powiedział: nauczmy się być selektywni; ja

powiedziałbym to samo. Nauczmy młodzież czytać prasę krytycznie, oddzielać – jak się mawia – ziarno od plew. Powinna lepiej zatroszczyć się o to szkoła.

Okazuje się jednak, że (prawdopodobnie z powodu tego ilościowego przesytu) młodzież nie czyta już gazet, które staną się niebawem po heglowsku codzienną modlitwą emeryta. Zwycięstwo dzienników nad tygodnikami, ich „utygodnikowienie” (zjawisko ilościowe zrodzone stąd, że telewizyjne wiadomości wieczorne pozbawiają dziennik przywileju podawania informacji przedtem odbiorcy nieznanych), z jednej strony wywołało kryzys tygodników, a z drugiej spowodowało, że dzienniki stały się nieczytelne; i tak młodzież przestawia się na internet. Ten także jest dręczony problemem ilości (bo uniemożliwia rozróżnianie informacji wiarygodnych od niewiarygodnych), ale przynajmniej stwarza wrażenie (fałszywe), że można wybrać to, co chce się wiedzieć.

Wielkie panuje więc pod naszym niebem zamieszanie i gdyby ktoś mnie poprosił o radę mędrca, mądrość nakazałaby mi odpowiedzieć, że rady takiej dać nie mogę.

2010

Jak z godnością próbować i wynikom prób zaprzeczać

Czym są właściwie czarne dziury, wielu czytelników nie wie i szczerze mówiąc, mnie także udaje się je sobie wyobrazić jedynie jako tego szczupaka z *Żółtej łodzi podwodnej*, który pożerał wszystko wokół, a w końcu połknął samego siebie. Aby jednak pojąć znaczenie wiadomości, do której tu nawiązuję, nie trzeba wiedzieć więcej – wystarczy zrozumieć, że chodzi o jedno z najbardziej kontrowersyjnych i pasjonujących zagadnień współczesnej astrofizyki. Otóż dowiadujemy się z prasy, że słynny uczony Stephen Hawking (znany szerokiej publiczności może nie tyle dzięki swoim odkryciom, ile dzięki mocy i determinacji, z jakimi pracował przez całe życie mimo straszliwego kalectwa, które z innego człowieka uczyniłoby roślinę) złożył prawdziwie sensacyjne oświadczenie. Uważa, że popełnił błąd, gdy w latach siedemdziesiątych sformułował teorię czarnych dziur, i przygotowuje się do wystąpienia na konferencji naukowej, aby zaproponować odpowiednie zmiany.

Naukowcom takie zachowanie nie wyda się bynajmniej niezwykłe; mogą je uznać za wyjątkowe jedynie ze względu na sławę, jaką cieszy się Hawking. Sądzę jednak, że na ten epizod należałoby zwrócić uwagę młodzieży we wszystkich szkołach niefundamentalistycznych i niewyznaniowych, żeby skłonić ją do refleksji nad zasadami nowoczesnej nauki.

Środki masowego przekazu często oskarżają naukę, przypisując jej odpowiedzialność za szatańską dumę, z którą ludzkość zmierza być może do własnej zguby. Mylą one wtedy najwyraźniej naukę z techniką. To nie nauka jest odpowiedzialna za zbrojenia atomowe, za dziurę ozonową, za topnienie lodów i tak dalej; ona może nas jeszcze ostrzec przed niebezpieczeństwami, na które się narażamy, kiedy nieraz, opierając się na jej zasadach, zawierzamy nieodpowiedzialnym technologiom. Jednak

w oskarżeniach wobec postępowych ideologii (lub tak zwanego ducha oświecenia), które często słyszymy i o których czytamy, utożsamia się chętnie ducha nauki z duchem pewnych dziewiętnastowiecznych filozofii idealistycznych, według których Historia dąży nieustannie do tego, co lepsze, do tryumfalnego urzeczywistnienia siebie samej, Ducha lub jakiejś innej siły napędowej zmierzającej niezmiennie w stronę Celów Optymalnych. I tak wielu (przynajmniej z mojego pokolenia) zawsze z powątpiewaniem czytało idealistyczne podręczniki filozofii, w których dowodzono, że każdy kolejny myśliciel rozumiał lepiej (albo „uprawdopodobniał") drobne odkrycia swoich poprzedników (oznaczałoby to, że Arystoteles był inteligentniejszy od Platona). Takiemu pojmowaniu historii sprzeciwił się energicznie Leopardi pełnymi ironii słowami o „losach wspaniałych i postępowych".

Natomiast w naszych zwłaszcza czasach, próbując zastąpić różne ideologie w stanie kryzysu, flirtuje się coraz częściej z tym, co nosi nazwę myśli związanej z Tradycją: bieg historii nie przybliża nas bynajmniej do Prawdy, wręcz przeciwnie – wszystko, co było do zrozumienia, pojęły starodawne, wygasłe już cywilizacje, my zaś pogodzimy się sami ze sobą i z naszym losem jedynie pod warunkiem, że w pokorze sięgniemy znowu do tego wieczystego skarbu tradycji. Otwarcie okultystyczne wersje myśli tradycyjnej głoszą, że Prawdę znały cywilizacje, o których pamięć całkowicie się zatarła: cywilizacje pochłoniętej przez morze Atlantydy, hiperborejskiej rasy kryształowo czystych arian, którzy mieszkali na lodowej czapie polarnej o niezmiennie umiarkowanym klimacie, mędrców mitycznych Indii oraz innych zabawnych bytów, których istnienia dowieść się nie da. Umożliwiają one pseudofilozofom i autorom powieści w odcinkach podgrzewanie zawsze tych samych hermetycznych odpadków ku uciesze tłumów na letnich wywczasach i uczonych od siedmiu boleści.

Ze swojej strony nowoczesna nauka nie twierdzi, że słuszność ma zawsze to co Nowe. Wręcz przeciwnie, opiera się ona na zasadzie „omylności" (sformułował ją już Peirce, podjął Popper i wielu innych teoretyków, zastosowali praktycy). Zgodnie z tą zasadą nauka rozwija się, korygując

ustawicznie samą siebie, podając w wątpliwość własne hipotezy, stosując metodę *trial and error* (prób i błędów), uznając własne pomyłki i wychodząc z założenia, że nieudany eksperyment nie oznacza niepowodzenia, lecz wart jest tyle samo co eksperyment udany, ponieważ dowodzi, że obrana droga była niewłaściwa i że trzeba postępowanie albo skorygować, albo nawet rozpocząć od nowa. To samo zresztą głosiła przed wiekami Accademia del Cimento (Akademia Prób), której dewizą było „próbować i wynikowi próby zaprzeczać" – a więc nie tylko próbować, ale i odrzucać to, czego w świetle rozumu i doświadczenia udowodnić się nie da.

Podobny sposób myślenia przeciwstawia się – jak już powiedziałem – wszelkim fundamentalizmom, wszelkim dosłownym interpretacjom świętych tekstów (które także trzeba ciągle odczytywać na nowo), wszelkiej dogmatycznej, niedopuszczającej wątpliwości wierze we własne poglądy. Taka jest dobra „filozofia" w codziennym, sokratejskim znaczeniu tego słowa, i jej właśnie należałoby uczyć w szkole.

2004

Jak zajmować się filozofią w domu

Mnożą się miejsca, w których szeroka publiczność zapoznawana jest z filozofią, i mnożą się po temu okazje – prawdopodobnie dlatego, że ludzie nie znoszą już śmieciowej telewizji i że na świecie dzieje się mnóstwo brzydkich rzeczy, przez co powstaje zapotrzebowanie na parę chwil pogodnej refleksji. Chodzi o filozofię na poziomie liceum, o której, jak w Paryżu, toczą się niedzielne rozmowy w kawiarni lub o której czytamy bez wysiłku w publikacjach popularnonaukowych; nieraz zbierają się też nieprawdopodobne wręcz tłumy w salach, gdzie dyskutują zawodowi filozofowie. Jest to w dużej mierze kwestia mody i uproszczeń właściwych środkom masowego przekazu, ale też i objaw, którego nie należy nie doceniać. Dlatego wpadłem na pomysł przedstawienia kilku propozycji dla niespecjalistów – także dla tych, którzy nie uczyli się filozofii w liceum lub którzy poszli posłuchać przemawiających gdzieś domniemanych filozofów i nic z tego nie zrozumieli. Im wszystkim doradzam rozwiązanie najprostsze: czytać, co napisali filozofowie prawdziwi.

Filozofia nie zawsze musi wydawać się łatwa, niekiedy musi być trudna, ale nigdzie nie napisano, że filozof musi się wyrażać w sposób trudny. Trudno zrozumiały język nie jest w filozofii dowodem ani jakości, ani przewrotności; łączy się często z rozpatrywanym zagadnieniem. Istnieją filozoficzne arcydzieła, które zmieniły nasz sposób życia i myślenia, a są niezaprzeczalnie trudne w odbiorze. Dlatego nie będę zachęcał nikogo, kto nie jest specjalistą, do lektury *Metafizyki* i *Organonu* Arystotelesa, *Krytyki czystego rozumu* czy tego wspaniałego, lecz niezmiernie trudnego dzieła, jakim jest *Etyka* Spinozy. Nie brak jednak filozofów umiejących pisać przystępnie; często są to ci sami, którzy w innych swoich pracach wyrażali się całkiem nieprzystępnie. Dlatego doradzam tylko kilka książeczek (liczą

na ogół nie więcej niż sto stron każda), które dowodzą, że można uprawiać filozofię, nie używając zbyt wielu terminów technicznych.

Zacznijmy od Platona. Proponowałbym *Kritona*, który uczy, jak i dlaczego obywatel (niezależnie od tego, czy nazywa się Sokrates, czy Silvio) winien szanować prawo. Przechodząc do Arystotelesa, zalecam *Poetykę*. Zapomnijcie, że mowa tam o tragedii klasycznej. Czytajcie to dzieło, jakby tłumaczyło nam ono, jak pisać powieść kryminalną lub kręcić western. Autor pojął już wszystko, co dwa tysiące lat później mieli pojąć Hitchcock lub John Ford. Zalecam dalej dialog *O nauczycielu* świętego Augustyna, który pisze tak, jak ojciec mówi do syna o codziennych sprawach. Książeczka genialna w swojej prostocie i przenikliwości.

Chociaż studiuję średniowiecze, niełatwo mi zalecić tekst z wielkiej filozofii scholastycznej, ponieważ lektura niewielu stron wyjętych z systemowego kontekstu mogłaby skierować czytelnika na złą drogę. Zrezygnujmy więc z filozofii ściśle pojętej i doradźmy mu *Listy* (miłosne, tak) Abelarda i Heloizy. Nie oczekujcie, że będzie w nich dużo o seksie, ale przeczytać warto.

Teraz odrodzenie. Możemy zacząć od *Mowy o godności człowieka* Pico della Mirandoli. Później (ale tylko w antologii, są takie) kilka fragmentów *Prób* Montaigne’a; wystarczą dawki homeopatyczne. Zaraz potem *Rozprawa o metodzie* Kartezjusza, wzorowa pod względem jasności; dalej wybór *Myśli* Pascala. Wreszcie filozof piszący tak, jak rozmawia się przy kolacji z przyjaciółmi, uczony, rozsądny John Locke i jego *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*. Całe dzieło jest długie, doradzałbym ograniczyć się do księgi trzeciej, poświęconej użytkowi, jaki robimy ze słów. Czytajcie Locke’a podobnie jak Arystotelesa, tak jakby opowiadał nam o dzisiejszych przemówieniach; porównajcie jego uwagi z pierwszymi stronami gazet i z dyskusjami telewizyjnymi naszych czasów.

Co się tyczy oświecenia, ograniczyłbym się na razie do Wolterowskiego *Kandyda*, w gruncie rzeczy nadzwyczaj przyjemnej krótkiej powieści. Wiek XIX to prawdziwe monstrum pełne ogromnych, trudnych w odbiorze tomów, ale tylko my, Włosi, nie jesteśmy zdania, że *Zibaldone* (Notatnik)

Leopardiego to wybitne dzieło filozoficzne; niedawno odniósł ogromny sukces we Francji. Idziemy dalej, znowu sięgając do antologii, stroniczka lub dwie wieczorem przed zaśnięciem. Albo zrobię wam prowokacyjną propozycję. Ponieważ Kant ex definitione wymaga zbyt dużego wysiłku, zawrzyjmy z nim znajomość poprzez dzieło powstałe z potrzeby zaokrąglenia poborów, kiedy prowadził dla studentów wykłady dotyczące tematów, które nie były jego specjalnością. Okazywał się wtedy dowcipny, ekstrawagancki, gotów opowiadać anegdoty i wyrażać paradoksalne nieraz opinie. Przeczytajmy więc jego *Wykłady z antropologii*; tytuł może odstraszać, ale treść pasowałaby do tygodnika ilustrowanego.

Co dalej? Miejsce na mój tekst już się kończy, o współczesnych pisać nie będę. Chyba żebyście chcieli, skacząc tu i tam, posmakować drobnymi łykami myśli Wittgensteina w *Dociekaniach filozoficznych* (niech was nie przeraża tytuł). Czasem może wam się wydać, że to wariat. Tak, to wariat. Ale co za wariat!

2004

Przypisy

[1] Roberto Calvi (1920–1982), włoski bankier zamieszany w ciemne machinacje finansowe (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Wielotomowa praca zbiorowa *Grundriss der Geschichte der Philosophie* (Zarys dziejów filozofii), wiele wznowień od 1863 roku.

[3] Wojna włosko-turecka o Libię, 1911–1912.

[4] Licio Gelli (1919–2015), włoski finansista, szef tajnej loży masońskiej P2.

[5] Franco Maria Ricci (ur. 1937), włoski wydawca książek o sztuce.

[6] Ziejący ogniem czarny pies o sześciu nogach to logo włoskiego koncernu naftowego Eni.

[7] Adres mediolańskiej siedziby RAI.

[8] Aluzja do zamachu bombowego dokonanego na tej trasie w 1984 roku.

[9] Ettore Petrolini (1884–1936), włoski komik.

[10] Bitwa pod Filippi w 42 roku p.n.e., w której uczestniczył Brutus.

[11] Carlo De Benedetti (ur. 1934), włosko-szwajcarski przedsiębiorca i wydawca.

[12] Marcel Mauss (1872–1950), francuski socjolog i antropolog.

[13] Carlo Rubbia (ur. 1934), włoski fizyk, laureat Nagrody Nobla.

[14] Oprócz arcydzieł światowego dramatu zostały wymienione znane sztuki autorów włoskich: Luigiego Pirandella (*Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora*; *Tak jest, jak się państwu zdaje* – pani Ponza), Sema Benellego (*Uczta szyderców* – Giannettaccio) i Gabriele D'Annunzia (*Córka Joria* – Mila Kodra).

[15] Paolo Fabbri (ur. 1939), włoski semiotyk.

[16] Fernando Pessoa (1888–1935), portugalski pisarz i poeta.

[17] Włoska regionalna partia polityczna, 1982–1991.

[18] Luciano Berio (1925–2003), włoski kompozytor awangardowy.

[19] Erving Goffman (1922–1982), amerykański socjolog.

[20] Roberto Leydi (1928–2003), włoski etnomuzykolog.

[21] Cytowane zdania pochodzą z X-wiecznego *Werdyktu z Kapui* oraz dzieł następujących autorów: świętego Franciszka z Asyżu, Guida Guinizellego, Cecca Angiolieriego, Dantego, świętej Katarzyny ze Sieny, Petrarki, Boccaccia, Gabriele D'Annunzia, Elia Vittoriniego.

[22] Nawiązania do artykułu 1 Konstytucji Republiki Włoskiej.

[23] Tytuł wydania polskiego: *Jak zdobyć przyjaciół i zjednać sobie ludzi* (Studio Emka, Warszawa 1993).

[24] Stefano Bartezzaghi (ur. 1962), włoski dziennikarz i pisarz.

[25] Rita Levi-Montalcini (1909–2012), włoska neurolog, laureatka Nagrody Nobla.

[26] Mario Monti (ur. 1943), włoski ekonomista, premier w latach 2011– 2013.

[27] Premio Strega, prestiżowa włoska nagroda literacka.

[28] Eugenio Scalfari (ur. 1924), włoski dziennikarz, pisarz i polityk.

[29] Romano Prodi (ur. 1939), włoski ekonomista, premier w latach 1996–1998 i 2006–2008.

[30] Cesare Lombroso (1835–1909), włoski lekarz, antropolog i prawnik, uważany za twórcę kryminologii.

Nakładem Oficyny Literackiej Noir sur Blanc ukazały się następujące dzieła Umberta Eco:

BAUDOLINO
2001

WAHADŁO FOUCAULTA
2002, 2005, 2007, 2015

WYSPA DNIA POPRZEDNIEGO
2003, 2007

IMIĘ RÓŻY
2004, 2006, 2009, 2011, 2012, 2016

TAJEMNICZY PŁOMIEŃ KRÓLOWEJ LOANY
2005, 2006

CMENTARZ W PRADZE
2011

TEMAT NA PIERWSZĄ STRONĘ
2015